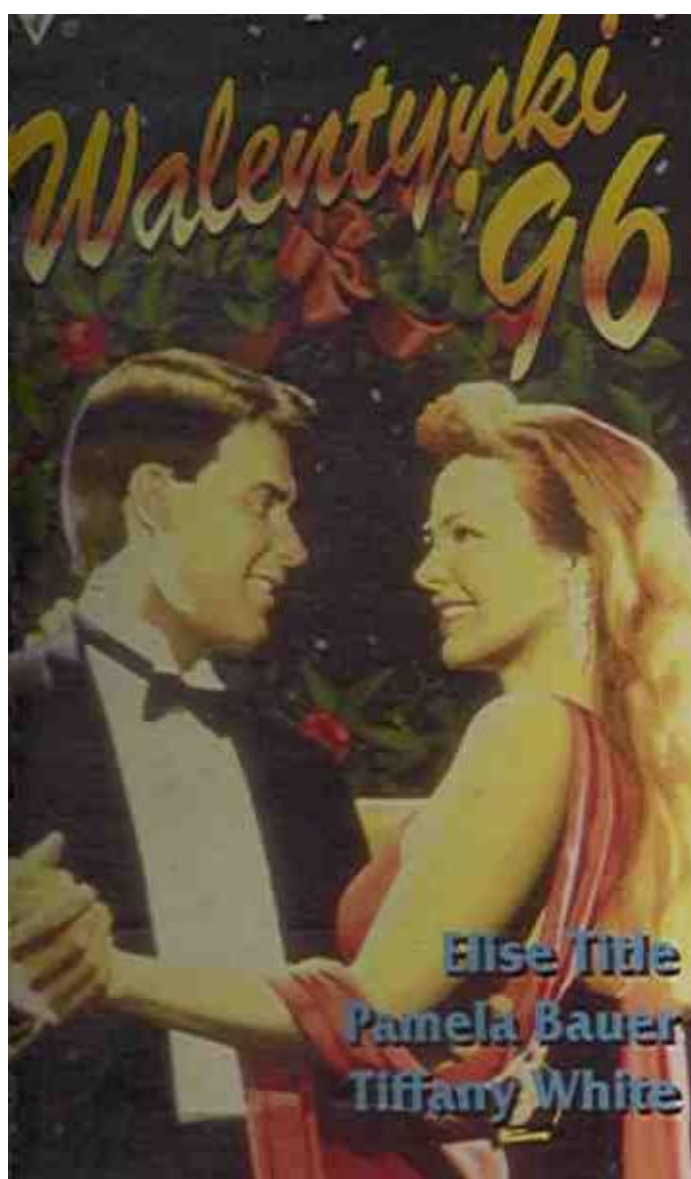


**White Tiffany**

**Bezseny w St. Louis**

**WALENTYNKI 96 - 3**



## PROLOG

*Noc sylwestrowa, Boston*

— Zaliczam się do tych ciekawskich, chłopcy, a ciekawscy nie szcędzą innym pytań. Więc dlaczego wy trzej siedzicie tutaj na tych taboretach, zamiast szaleć tam na parkiecie? — Fred, tęgi barman o rumianych policzkach, wskazał ręką w głąb sali, gdzie sylwestrowe towarzystwo bawiło się w najlepsze. — Może ty mi odpowiesz — zwrócił się do ciemnowłosego mężczyzny po trzydziestce, siedzącego na wprost.

— Winę za to ponoszą kobiety i jeszcze raz kobiety — odparł Tristan Talbot, a jego dwaj przyjaciele z college'u na znak pełnej aprobaty odstawili gestem abstynentów smukłe kieliszki z szampanem.

Chyba nie zamierzasz mi wmówić, że trzech takich przystojniaków jak wy nie mogło poderwać sobie na tę noc trzech fajnych dziewczyn? Nigdy w to nie uwierzę.

— Ale taka jest prawda. Trzech całkiem dorzecznym facetów zostało na tę noc z pustymi rękami — potwierdził Tristan z samokrytycznym uśmiechem. — Och, te kobiety. Na swoje wytłumaczenie mam jedynie to, że nie jestem z Bostonu.

— Ja również jestem nietutejszy. Byłem umówiony, niestety, nie wypa-  
liło — powiedział tonem usprawiedliwienia Alec McCord, wysoki blondyn o atletycznej sylwetce, charakterystycznej dla baseballisty.

— Innymi słowy, ona nie zjawiała się o określonej porze w określonym miejscu — uściślił Nicholas Santiago, ostatni z trójki przyjaciół, po czym przeczesał palcami swoje gęste jasnobrązowe włosy.

— W rezultacie zamiast miłosnych przygód mamy siebie, chłopcy — podsumował Tristan, nie kryjąc ironii.

Alec przywdział teatralną minę nieszczęśliwca, która uwydatniła dołki na jego policzkach.

— Wciąż do mnie nie dociera, że spędzam sylwestra na stołku przy barze z dwoma facetami. Czyż można niżej upaść?

— Jedyna pociecha, że nie jest to najgorszy z barów — zauważył Fred nie bez pewnej dozy zawodowej dumy i napełnił musującym winem puste kieliszki klientów.

Mężczyźni unieśli je jak na komendę.

— Za nadchodzący rok! — Alec wzniosł toast. — Obyśmy na naszej drodze spotykali tylko samotne kobiety, spragnione bliższych kontaktów z przystojniakami, za jakich uważa nas niejaki Fred, barman z Bostonu.

Kieliszki stuknęły o siebie z krystalicznym brzękiem.

— Za kobiety spragnione miłości — dorzucił Tristan.

— Powinniśmy raczej powiedzieć: „Za kobiety, których wyobrażenie o miłości pokrywa się z naszym” — dodał swoje trzy grosze Nick.

Głowy jego przyjaciół opadły do przodu. Było to coś w rodzaju potwierdzającego kiwnięcia.

— W każdej sytuacji odzywa się w nim pedantyczny prawnik — skomentował Alec.

—Powiem wam prawdę — powiedział Fred i podniósł palec niczym biblijny prorok. — Świat jest czymś w rodzaju parkietu, a baby nam mówi że już nie prowadzimy w tym tańcu. — W jego słowach przebijała pewność siebie człowieka, który przez trzydzieści pięć lat przyglądał się ludziom zza barowego kontuaru.

Tristan zrobił skwaszoną minę.

—Co tu mówić o prowadzeniu! One, podejrzewam, nawet nas nie chcą widzieć na tym parkiecie.

—Czasy zmieniają się, to pewne — oświadczył Nick filozoficznie. — Gdy któryś z nas umawia się z dziewczyną i ona nie przychodzi, to bardzo zły znak dla całej reszty rodzaju męskiego.

—E, tam. Nie ma czego żałować — powiedział Alec.

—Mam już dość kobiet, które tylko dlatego lgną do mnie, że coś znaczą w baseballu.

—A ja z kolei mam dość tych, które przychodzą na randkę tylko po to, by udowodnić własną wyższość nad mężczyzną — rzekł Tristan. — Choć, istnieją może i inne kobiety, którym zależy bardziej na uczuciach, niż na rozgniataniu partnerów czubkiem zamszowego pantofelka.

—Problem tylko jak je znaleźć — zauważył Nick.

—Zawsze można dać ogłoszenie — rzucił Fred od niechcena. — Wiecie, w rubryce matrymonialnej...

—Nie miewasz lepszych pomysłów?

—Ja miałbym zniżyć się do czegoś takiego? Jedyne Alec nie zlekceważył pomysłu Freda.

—Rzecz, nad którą warto się zastanowić — powiedział, cedząc sylaby. Słyszając takie bluźnierstwo, Tristan i Nicholas głucho jęknęli.

—Przypominam, że college mamy już za sobą — odezwał się Tristan.  
— Nie będziemy chwytać się takich rozpaczliwych sposobów.

— A co złego widzisz w niewinnym prasowym ogłoszeniu? — zapytał Alec.

—Jeden ze stałych bywalców tego lokalu — wtrącił Fred — trafił tą metodą w dziesiątkę. Dał anons, spotkał się z szałową babką, by na drugi dzień nazwać to spotkanie najbardziej fantastyczną randką swojego życia.

Alec bawił się swoim kieliszkiem.

— Upojna noc w zamian za dwie linijki w gazecie petitem.

— To dobre dla studenterii — powtórzył Tristan ze wzgardliwą miną.

— A i to niekoniecznie. Pomyślcie, gdybyśmy robili to przedtem w college'u, który z nas skończyłby na jednej fantastycznej randce? — zapytał Nick.

— Pan Podrywalski, czyli ja, na pewno by nie skończył — oświadczył Tristan tonem zadufanego w sobie podrywacza. Najwidoczniej wypity szampan robił swoje.

Alec i Nick wybuchlieli śmiechem.

— Pan Podrywalski! To było dobre w bostońskim college'u, ale teraz? — powiedział Alec. — Nadal uważasz, że erotyczne podboje kosztują mniej wysiłku niż wypicie coca-coli? Tristan zachichotał.

— Tak czy inaczej, nie piszę się na to ogłoszenie.

— A ja myślę, że powinniśmy dać sobie tę szansę — powiedział Mec.  
— Niebawem Walentynki. Niech każdy z nas zamieści anons odpowiedniej

treści i zobaczymy, któremu dopisze szczęście. Chyba że pan Podrywalski boi się tego rodzaju nowych wyzwań?

— Czy kiedykolwiek przyłapałeś mnie na tchórzostwie?

— W porządku, wchodzisz do gry. Pozostaje nam tylko ustalić szczegóły.

— Chwileczkę, jeszcze nie wyraziłem swej zgody — zaproponował Nick.

— Nie wygłupiaj się. Tris i ja zrobiliśmy szmat drogi, by spędzić z tobą tę noc sylwestrową. Nie możesz wystawić nas do wiatru.

— Kiwnij łbem, chłopie, i będzie wszystko jak dawniej — dodał Tristan, dając znak barmanowi, by otwierał kolejną butelkę szampana.

— Mam przeczucie, że gorzko będę tego żałował — rzekł Nick, rozkładając ręce. Tristan wzniosł kieliszek.

—A teraz najważniejszy toast. Za kawalerów świętego Walentego! Niech czternastego lutego ruszą do boju i niech — tu dramatycznie zawiesił głos — wygra najlepszy.

\*\*\*

*Twoim stopom potrzeba masażu? Tobie — bajki na dobranoc?*

*Twojemu libido — silnych wrażeń?*

*Zostań moją wymarzoną Walentynką.*

*Bezsenny w St. Louis*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Oferta w rubryce towarzyskiej? Twoja?! No, mów! Gio Bonetti podniósł się z ławeczki, na której ćwiczył podnoszenie ciężarów, zwalniając miejsce dla swojego najlepszego przyjaciela, Aleca McCorda.

— Chyba nie masz zamiaru dać ogłoszenia w „Riwer City Cali”?

— A żebyś wiedział. I zgadnij, kto mi pomoże je napisać!

Ekskluzywna sala tortur składająca się z chromu, luster i najnowocześniejszych przyrządów gimnastycznych wypełniona była mężczyznami i kobietami Ćwiczącymi w rytm pulsującej muzyki. Wzrok Gio powędrował w stronę rudowłosej dziewczyny na StairMasterze. Dzięki obcisłemu jednoczęściowemu kostiumowi, który miała na sobie, mógł dostrzec pracę każdego mięśnia.

— Nie podnieca cię spocone ciało? Słowo daję, nie ma nic bardziej seksownego od zlanej potem kobiety w obcisłym kostiumie gimnastycznym.

— Miałeś mnie asekurować, żebym nie zwałił sobie na klątę tych dziewięćdziesięciu kilo — upomniął go Alec, zaciskając palce na sztandze i podnosząc ją ze stojaka.

Dobrze już, dobrze. Czy to moja wina, że w latach dziewięćdziesiątych siłownie zastąpiły bary dla samotnych? Spójrz tylko na te laski. Dlaczego nie umówisz się z którąś, zamiast dawać ogłoszenie matrymonialne?

— A co w tym złego?

— Żarty sobie stroisz? Taka oferta to jak randka w ciemno. Nigdy na takiej nie byłeś? Kupowanie kota w worku! A potem pewnie i tak się okaże, że to zupełna

klapa.

Alec podniósł sztangę nad głowę po raz dwunasty, ostatni w tej serii, po czym odłożył ją na stojak.

— Już ci mówiłem. Tristan, Nicholas i ja zawarliśmy w sylwestra umowę. Przed moim powrotem z Bostonu do St. Louis postanowiliśmy zamieścić w gazecie oferty walentynkowe. Po tym samotnym sylwestrze uznaliśmy, że w Dzień Zakochanych zasługujemy na damskie towarzystwo.

Alec wstał z ławeczki. Przeszedł z Gio kilka kroków po wytartej, drewnianej podłodze, żeby dokończyć trening przed ścianą pokrytą lustrami.

Ich odbicia różniły się od siebie jak dzień i noc.

Ciemnowłosy i szczupły Gio Bonetti wyglądał na tancerza — którym był w rzeczywistości — występującego z zespołem w miejscowym barze.

Alec, niebieskooki blondyn, był wyższy i miał jeden łobuzerski dołeczek — dwa stanowiłyby już zabójcze niebezpieczeństwo. Jego ciało było proporcjonalnie zbudowane, jak u zawodowego atlety. Praworęczny miotacz, gwiazda baseballu, został przeniesiony do drużyny St.

Louis Cardinals tydzień temu, a piłką rzucał w sposób robiący niesamowite wrażenie.

— Zastanówmy się. Doskonała, wymarzona randka walentynkowa... — Gio zadumał się, kiedy obaj wybierali sobie odpowiednie obciążenia i zakładali je na sztangi.



— A więc... pizza na wynos, wideo z wypożyczalni i panienka, którą należy odstawić taksówką do domu. Ale czy nie możesz sobie tego załatwić bez ogłoszenia?

— Świat się zmienia, Gio. To już nie te czasy, kiedy miałem dziewczynę w każdym większym mieście. Zabawa się skończyła i, szczerze mówiąc, ostatnio trochę spasowałem. Ciężko dociec, czego te kobiety teraz chcą.

— Wcale nie — sprzeciwił się Gio, obserwując kolegę wyciskającego sztangę nad głową. Alec spuścił sztangę na podłogę i spojrzał na Gio. — Zapominasz, że mam nad tobą przewagę, jeśli chodzi o orientację w bab-skich marzeniach.

— Bo tańczysz w zespole?

Gio przyjrzał się obciążeniu na sztandze, a następnie zdjął z niej kilka ciężarków.

— Nie, bo mam siostrę. Na tym polega moja przewaga. Rozmowa z Elizabeth pomaga mi zrozumieć kobiety.

— Z twoją siostrzyczką Elizabeth? Przecież to jeszcze dziecko.

— Moja siostrzyczka ma dwadzieścia osiem lat — zawył Gio. — A według niej każda kobieta szuka faceta z Seattle.

— Mówisz o tym gościu z „Bezsenności w Seattle”?

Gio skinął głową.

— Właśnie, takim wrażliwym...

Zdegustowany Alce przewrócił oczami.

— Jakaś panienka zaciągnęła mnie na ten film. Bujda na resorach. Zrządzenie losu i tego typu bzdety. Może i kobiety twierdzą, że chcą wrażliwych mężczyzn, ale wcale tak nie jest. Przynajmniej niezupełnie. Jak już

takiego dorwą to szybko się nim nudzą i rzucają dla kogoś bardziej pasjonującego.

Alec poznał tę bolesną prawdę, gdy jego własna matka porzuciła męża—księgowego dla rajdowego kierowcy. Kiedy ojciec chłopaka, chcąc uciec od wspomnień, zgodził się na przeniesienie do pracy w St. Louis, zamieszkali obaj tuż obok Bonettich. I podczas gdy starszy McCord szukał zapomnienia w alkoholu, Alec chłonał ciepło rodzinne domu Bonettich.

— Elizabeth uważa...

— O ile sobie przypominam, twoja siostra nie dorosła jeszcze do tego, żeby mogła się sama sobą zajmować. Zawsze musiałem wyciągać ją z kłopotów. Pamiętasz ten niebieski rower, na którym tak lubiła jeździć? Udawała, że to koń! Któregoś dnia, jak byłeś na próbie zespołu, włożyła najładniejszą sukienkę wizytową taką długą z falbankami, i dosiadła tego swojego konia. Wyobrażała sobie, że jest księżniczką, ale spódnica zaplątała jej się w szprychy. Skręciłaby sobie ten głupi kark, gdybym jej nie złapał.

— Elizabeth prowadzi teraz własne biuro podróży i jeździ na prawdziwym koniu, a nie na rowerze. I jeszcze żadnemu facetowi nie udało się jej złapać. Moi rodzice, którzy już od dawna marzą o wnukach, twierdzą, że ona jest zbyt niezależna.

— Jest uparta, to fakt — przyznał Alec z uśmiechem.

— Kiedy miała siedem lat, a ja uczyłem ją pływać, uparła się, że za mnie wyjdzie. Tak długo mnie zameczała, że w końcu wręczyłem jej „pierścionek zaręczynowy” wylosowany z automatu przy basenie.

— Zupełnie zapomniałem — roześmiał się Gio, odkładając sztangę na podłogę. — Ale muszę przyznać, że to dążenie po trupach do celu opłaciło

się, choć niełatwo jej przyszło stworzyć własne biuro podróży. Wciąż mieszkamy razem w domu, który odkupiliśmy od rodziców, kiedy przenieśli się do Teksasu, ale rzadko ją widuję. Zawsze jest w terenie, kontroluje miejsca wypoczynku swoich klientów. Dziś rano poleciała na inspekcję nowego hotelu na Florydzie.

— To może Elizabeth udzieli mi kilku porad na temat St. Petersburga na Florydzie, zanim się zgłoszę na ten wiosenny trening, który zaczyna się szesnastego.

— Szesnastego? Walentynki są czternastego, więc tak właściwie mówimy tylko o jednej nocy — skonstatował Gio, przyglądając się rudowłosej, która obecnie ćwiczyła na Nautilusie.

— Tak, o wspaniałej jednej nocy. — Alec uniósł brwi w lubieżnym grymasie.

— Tego raczej nie powinieneś pisać...

— Wiem. Oczywiście, gdybym miał poznać Tę Właściwą mogłoby to trwać, powiedzmy, dwie noce. Ale nie dłużej. Szesnastego muszę się zgłosić na trening.

— Tę Właściwą?

— No wiesz, kobietę, która by uprościła moje życie, a nie jeszcze bardziej je skomplikowała. Która by akceptowała moje „tradycyjne” wartości.

— Problem w tym, że pani Cleayer jest już żoną Warda — zakpił Gio.

— Przestań. Musi być przecież gdzieś jakaś kobieta, która chce, żeby mężczyzna był dla niej oparciem, która nie marzy o zrobieniu kariery i która...

— Na dodatek jest ładnie zbudowaną blondynką — dorzucił Gio.

— No... Czy ja wiem? Bardziej mnie interesuje ktoś lojalny, na kim można polegać.

— To może lepiej kup sobie małego golden retrievera.

— Mówię poważnie, Gio. Nigdy nie dopada cię melancholia? Nie chciałbyś, żeby w niedzielny wieczór ktoś usiadł przy tobie przed telewizorem z miską prażonej kukurydzy na kolanach? Czasem chciałbym wreszcie móc się przy kimś poczuć swobodnie. Tak długo byłem sam, że już nie potrafię normalnie rozmawiać. I chyba robię się samolubny.

— Albo za dużo się naoglądałeś programów Oprah Winfrey, albo aż tak się przejąłeś tym sylwestrem — skrzywił się Gio.

— W sylwestra przyśniła mi się kobieta, która opiekowała się psem z chorą łapą — przypomniał mu Alec.

— Nawet kompletny idiota uznałby to za znak.

— Wiesz, co jest prawdziwym znakiem? Ta świetnie zbudowana dziewczyna. — To mówiąc, Gio skinął głową w stronę rudowłosej. — Wpadnij do mnie wieczorem. Usmażymy sobie hamburgery na grillu i wymyślimy jakieś ogłoszonko. Teraz jednak muszę trochę pogłówkować, żeby ta Miss Fitness zechciała się ze mną spotkać. Całe to gadanie o bezpiecznym seksie w rodzaju „patrz sobie do woli, ale nie próbuj się dobrać” odbiera cały urok naszym czasom. Myślisz, że mi uwierzy, kiedy jej powiem, że eksploduję, jeśli nie pójdzie ze mną do łóżka?

Alec roześmiał się głośno, potrząsając głową.

— Po prostu powiedz jej, że jesteś tancerzem.

— Fakt, to zawsze działa.

Tym razem najwyraźniej nie zadziało. Gio wrócił do kolegi w błyskawicznym tempie.

— Miałeś rację. Nasze czasy schodzą na psy. Chyba też zaczynam tracić kontakt z dziewczynami.

— Poddajesz się? Tak po prostu?

— Skąd. Przegrałem jedną bitwę, a nie całą wojnę. Dziś wieczorem musimy się spotkać dosyć wcześnie. Zaraz po kolacji, jak już napiszemy to twoje ogłoszenie, idę spać.

— Ty? Nocny Marek?

— Podobno ta Miss Fitness prowadzi najcięższe zajęcia z aerobiku. Żeby się zapisać, muszę być w sali gimnastycznej przed szóstą rano, bo miejsce można sobie zarezerwować tylko na dzień wcześniej — wyjaśnił.

— Czy ty aby wiesz, w co się pakujesz?

— To me ja szukam pomocy w rubryce towarzyskiej...

Dwadzieścia minut później obaj wyszli z siłowni i przekonali się na własnej skórze, jak zmienna bywa pogoda w St. Louis. Na zewnątrz sypał gęsty, mokry śnieg.

— Zupełnie, jakby ktoś chciał zasypać całe miasto, żeby go już więcej nie oglądać — stwierdził Alec, który od tylu lat mieszkał w Los Angeles, że odwykł od widoku śniegu.

— Znowu się porobią gigantyczne korki — skrzywił się Gio.

— Gdybym już nigdy w życiu miała nie zobaczyć śniegu, wcale by mnie to nie zmartwiło — mruknęła do siebie Elizabeth, krążąc wokół samochodu i po raz kolejny odśnieżając szyby. Miała na sobie pantofle, więc jej stopy były już zmarznięte na kość, a czerwony nos mógłby posłużyć re-

niferom Świętego Mikołaja za punkt orientacyjny. Do tego wszystko ją bolało od odkopywania samochodu z zasy, w którą jakiś idiota — bo musiał to być mężczyzna — wpakował ją ze złośliwości czy arogancji.

A zgodnie z planem powinna właśnie jeść kolację i popijać wino w South Beach, najnowszym, utrzymanym w europejskim stylu hotelu przy Ocean Drive, z którym miała nawiązać stałą współpracę. Z taką radością oczekiwała spotkania z przystojnym szefem kuchni w restauracji „Starfish”, o którym tak wiele słyszała. I zamiast specjalności zakładu — smażonych na ruszcie quesadillas z homarami w pikantnym sosie mango — będzie musiała zadowolić się tym, co znajdzie w lodówce, bo przez tę zamieć odwołano jej lot.

Wyczyściwszy szyby, Elizabeth wsiadła do samochodu i dołączyła do strumienia pojazdów, które w żółwym tempie poruszały się naprzód.

Nic nie układało się po jej myśli.

Od chwili, kiedy Gio powiedział jej, że Alec McCord został przeniesiony do St. Louis i ma grać dla Cardinals, zaczęła snuć plany. W dniu ich pierwszego spotkania chciała wyglądać olśniewająco. Kilkanaście lat temu złamał jej serce, kiedy wyjechał do college’u i nie wrócił. Czy aż tak trudno mieszkać w St. Louis i grać w drużynie Dodgersów z Los Angeles?

Do domu dotarła dopiero o siódmej.

Wydawało jej się jednak, że jest już znacznie później, bo większość dnia spędziła na lotnisku, próbując znaleźć jakieś inne połączenie.

Zaparkowała przed domem obok kilku potężnych białych zasp, naciągnęła na oczy wełnianą czapkę, owinęła twarz szalikiem i ruszyła w stronę drzwi.

Zaledwie kilka kroków od celu poślizgnęła się na oblodzonym chodniku i wylądowała w zaspie.

— Niech to szlag! — mruknęła, wygrzebując się ze śniegu. Nawet nie próbowała się oczyścić. Odwrócona plecami do wiatru dokuśtykała do drzwi, łamiąc przy tym

obcas.

Włożyła klucz do zamka frontowych drzwi, otworzyła je i powoli weszła do środka.

Gio wychylił głowę z kuchni, skąd rozchodził się smakowity zapach smażonej cebuli.

— Elizabeth? Co ty tu robisz? Przecież miałaś lecieć na Florydę.

— Odwołali samolot — powiedziała, kichnęła i ruszyła w stronę kuchni — w stronę jedzenia i ciepła.

Dokładnie w chwili, kiedy znalazła się obok Gio, otworzyły się drzwi wiodące z kuchni na pokryty śniegiem taras. Elizabeth zdębiała na widok osoby, która wносиła właśnie talerz z gorącymi hamburgerami.

— Alec... — wydusiła z siebie, otwierając usta ze zdumienia. Co on tu robi? Dlaczego właśnie dziś, gdy ona swoim wyglądem przypomina śniegowego bałwana?

— Elizabeth? Czy to naprawdę ty jesteś pod tym wszystkim? Jasne, że tak. Twoje oczy poznałbym wszędzie.

— To ja. — Pociągnęła nosem i znowu kichnęła. Zastanawiała się, dlaczego Alec tak dziwnie się jej przygląda. I o co mu chodzi z tymi oczami? Podobają mu się? Pewnie jak zwykle sobie z niej żartuje, nadal uważając ją za małą siostrzyczkę Gio, a nie dojrzałą osobę.

— Lepiej zdejmij te mokre łachy i weź gorącą kąpiel

— poradził Gio.

Elizabeth, wdzięczna bratu za pomoc, schroniła się w swoim pokoju, Potem weszła do łazienki i puściła gorącą wodę do wanny, ciągle mając przed oczami Aleca stojącego w kuchni. Oczywiście, śledziła rozwój jego kariery. Ale ta krótka chwila, kiedy zobaczyła go wreszcie po tych wszystkich latach, wywarła na niej duże wrażenie. Był tak przystojny, jak w jej wspomnieniach. A może bardziej?

Nie miał na sobie niczego szczególnego — szary sweter, dżinsy, adidasy i kurtkę klubową Dodgersów. Każdy, podobnie do niego ubrany mężczyzna, wyglądałby przeciętnie, ale nie on. W Alecu McCordzie nie było nic przeciętnego. A może to ona cały czas patrzyła na niego oczami zadurzonej nastolatki?

Nie, patrzyła na niego oczami kobiety.

Elizabeth zanurzyła się w ciepłej wodzie. Zamknęła oczy, poruszając nogami, żeby woda muskała ją delikatnymi falami. Przeszył ją różkoszny i nieprzyzwoity dreszcz — wyobraziła sobie siebie z Alekiem w sąsiednim pokoju. Przez drzwi słyszała rozmowę obu mężczyzn. Rozróżniała głosy, ale nie rozumiała poszczególnych słów na tyle dobrze, by wiedzieć, o czym mówią.

Czy Alec wyobrażał ją sobie w kąpeli?

Nie, to głupie z jej strony. Osoba przypominająca swoim wyglądem śniegowego bałwana raczej nie wzbudza zainteresowania.

Namydlała miękką, żółtą gąbkę swoim ulubionym, niebieskim hiacynutowym mydłem, a głód i ciekawość brały górę nad pragnieniem ukrycia się.



Była głodna i ciekawa planów Gio i Aleca, nie chciała jednak, żeby Alec widział ją w takim stanie.

Chyba że...

Szybko skończyła kąpiel i zaczęła się ubierać. Wyobrażała sobie, że znowu jest tą małą dziewczynką, która jeździ na niebieskim rowerku wystrojona jak księżniczka, tym razem jednak nie zamierza się stroić. Postanowiła sprawić wrażenie zupełnie zaniedbanej i jeśli włoży na I siebie byle co, Alec nie będzie mógł zbyt wiele powiedzieć o kobiecie, na którą wyrosło tamto dziecko.

Gdyby umyła włosy i elegancko się ubrała, wszystko stałoby się zbyt jasne. Poza tym nie była jeszcze gotowa na spotkanie z mm. Potrzebowała czasu.

Obmyśliła starannie strój. Wychodząc z pokoju, spojrzała w lustro i zachichotała. Nie ma szans, żeby uznać ją za pociągającą. Może czuć się spokojna.

Kiedy weszła do kuchni, Gio spojrzał na nią, odrywając wzrok od żółtego notatnika, w którym właśnie coś pisał.

— Czyż nie wyglądasz uroczo? — zażartował, uśmiechając się krzywo do Aleca siedzącego do niej plecami.

Elizabeth nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Podeszła do kredensu i przygotowała sobie hamburgera, nałożyła na talerz sałatkę ziemniaczan a potem usiadła przy okrągłym stole obok obu mężczyzn. Po pierwszym kęsie poczuła burczenie w żołądku. Cały dzień nie miała nic w ustach, nic więc dziwnego, że była głodna.

Jadła, przyglądając się gryzmołom Gio i udając, że nie dostrzega spojrzeń pełnych rozbawienia, które jej brat wymieniał z kolegą.

— I co teraz zamierzacie, skoro obaj znowu mieszkanie w tym samym mieście? — zapytała w końcu.

— Na razie piszemy ogłoszenie — wyjaśnił Gio.

— Szukacie kogoś do drużyny?

— Niezupełnie. Piszemy ogłoszenie do rubryki towarzyskiej w „Riyer City Cali”.

— Chcesz dać ogłoszenie w rubryce towarzyskiej?! — Elizabeth aż zachłysnęła się wodą mineralną.

— Nie ja. Alec.

Teraz musiała na niego spojrzeć.

Kiedy to zrobiła, okazało się, że i on na nią patrzy. Wzrok Aleca wędrował po niej z typowo męskim zainteresowaniem. Strój zdołał ukryć wszystko z wyjątkiem jej kształtów, które obecnie szacował... Odniosła dziwne wrażenie, że Alec ma dar widzenia przez ubranie. Jego oczy zaśniły dziwnym blaskiem, gdy zaproponował:

— Może powinniśmy napisać też drugie w twoim imieniu?

No dobra, może trochę przesadziła, próbując ukryć się przed nim do czasu, kiedy przeistoczy się w bóstwo. Nie na wiele się zdał ten jej pomysł, jeśli błysk w oczach Aleca coś znaczył.

Czuła się trochę głupio, siedząc naprzeciwko niego, ubrana w szlafrok matki w wyszywane kordonkiem kłosa zbóż, w kapciach—zajęczkach, które nosiła jeszcze jako nastolatka, z wałkami wielkości puszek po soku we włosach i zielonej, twardniejącej już maseczce na twarzy.

Jeśli się uśmiechnie, maseczka pokryje się siecią drobniutkich linii, a Alec odkryje, jak jego dawna koleżanka będzie wyglądała na starość.

Świetny pomysł.

— Przestańcie się mnie czepiać. Miałam naprawdę zły dzień. Powinnam być teraz na Florydzie i jeść kolację w towarzystwie przystojnego szefa kuchni, a nie tkwić w St. Louis i pomagać wam szukać dziewczyny z ogłoszenia.

— A nie mówiłem, że ona nam pomoże? — odezwał się Gio, biorąc do ręki długopis.

— Ale... — Elizabeth patrzyła to na jednego, to na drugiego, lecz najwyraźniej nie zamierzali pozwolić jej się z tego wywinąć. — No dobrze, pomogę wam pod warunkiem, że pozmywacie po kolacji.

— Przecież my ją szykowaliśmy! — sprzeciwił się Gio.

— To ja dyktuję warunki — nie ustępowała Elizabeth, zastanawiając się jednocześnie, po co Alecowi takie ogłoszenie. Pod względem urody niczego mu nie brakuje. Typowy amant, zaliczający kobiety jak Madonna zalicza całe drużyny sportowców.

— Pozmywamy — zgodził się Alec.

— W porządku. To co już macie? — Elizabeth dokończyła hamburgera, a następnie odstawiła pusty talerz do zlewu, żeby mogli od razu zabrać się do pracy.

Gio spojrział na swoje notatki.

— Na razie doszliśmy do tego, że Alec szuka skrzyżowania pani Cleayer ze szczeniakiem.

— Co?

— Nie zwracaj na niego uwagi, nie jestem aż tak pedantyczny. Kobieta moich marzeń musi, oczywiście, interesować się sportem. Być wielbicieleką drużyny Cardinals, a nie Cubs. Nie zaszkodziłoby, żeby sama też uprawiała jakiś sport. Dobrze by było, gdyby rano można było z nią porozmawiać o czymś więcej niż na temat kawy.

A ponieważ nie narzekam na brak pieniędzy, nie będzie musiała pracować. Chcę kobiety, która zgodzi się na moją opiekę.

— Chciałeś powiedzieć: na twoją dominację — przerwała mu oschle Elizabeth. — Wydawało mi się, że szukasz dziewczyny na randkę, a nie żony.

Alec wzruszył ramionami.

— Nigdy nie wiadomo. Po prostu jasno określłam, jakiej kobiety szukam.

— I tu właśnie popełniasz błąd. Nikt nie odpowie na takie ogłoszenie.

— Dlaczego? — wtrącił Gio.

— Bo koncentrujesz się tylko na tym, czego ty chcesz i czego ty potrzebujesz. Czy wy, mężczyźni, nie moglibyście choć raz spojrzeć na świat inaczej? To pewnie dlatego role kobiece w filmach są coraz słabsze, a my nieustannie tocymy z wami wojny.

— Zaczyna się gimnastyka umysłowa — odezwał się Alec z niedowierzaniem. — Wcale nie powiedziałem, że szukam kobiety doskonałej. Nic z tych rzeczy.

— A właśnie, że tak. — Gio spojrzął na swoje notatki.

— Mam to zapisane w punkcie piątym.

— To chcecie mojej pomocy czy nie? — zapytała Elizabeth, Kawałek maseczki odkleił się i wylądował na stole. Obaj mężczyźni ponownie wybuchnęli śmiechem.

Elizabeth spojrzała na nich jak na niegrzeczne dzieci.

— Dobrze już, dobrze. Powiedz nam, co powinniśmy napisać. Obiecujemy się nie śmiać — załagodził sprawę Alec, posyłając przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie.

— Przede wszystkim zastanów się, co do niej przemówi, a nie, czego konkretnie szukasz. Każda kobieta chce się czuć kimś wyjątkowym. Pokaż, że jesteś wrażliwy na jej potrzeby.

— A nie mówiłem? Kobiety szaleją na punkcie faceta z Seattle. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy tacy amanci jak my wyszli z mody — przerwał jej Gio.

— Poradź nam coś, Elizabeth. Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać — nalegał Alec.

Elizabeth nie mogła uwierzyć, że właśnie udziela porad miłosnych Alecowi McCordowi. Ale ci dwaj mężczyźni, którzy w kawalerskim stanie przeżyli trzydzieści pięć lat, naprawdę potrzebowali pomocy. I przynajmniej Alec umiał się do tego przyznać.

— Skoro nie podoba się wam „Bezsensowność w Seattle”, to może wykorzystajcie inny film, z którym się identyfikujecie — zaproponowała. — Wybierzcie coś o baseballu.

— Świetny pomysł. To może „Pole marzeń”? — zapalił się Gio, zapisując na kartce tytuł filmu, po czym spojrzał na Elizabeth i Aleca. — Co wy na to?

— Gio, jeśli „Bezszenność w Seattle” jest filmem typowo kobiecym, to „Pole marzeń” —typowo męskim. Potrzebujemy czegoś, co lubią wszyscy.

— Chyba nie zamierzasz nam zaproponować tego gniota z Madonną?

— Nie.

— To może „Bull Durham”? — wtrącił Alec.

— Dobra myśl — przyznała Elizabeth. — Kobietom się podobał. Mnie też.

— Ale jak możemy go wykorzystać?

— Pomyślmy chwilę. Czym zajmował się bohater, który w końcu zdobył miłość dziewczyny?

— Był miotaczem — skrzywił się Alec.

— Miotacz tej dziewczyny wcale nie zdobył — przypomniała mu Elizabeth.

— Ale za to spędził z nią kilka wspaniałych nocy — mruknął Gio, puszczając oko do kolegi.

— Zaraz, zaraz. — Elizabeth przyjrzała im się podejrzliwie. — Jeszcze mi nie powiedzieliście, dlaczego w ogóle chcecie zamieścić to ogłoszenie...

— Tristan i Nicholas, kumple Aleca ze studiów, zmusili go do tego — odpowiedział za kolegę Gio.

— W takim razie wycofuję się. Nie przyłożę ręki do zawodów o to, który poderwie ciekawszą kobietę — zaprotestowała Elizabeth, wstając od stołu. — Sami sobie napiszcie takie ogłoszenie.

Wykorzystała uwagę uczynioną przez brata, żeby móc wreszcie wrócić do siebie i zmyć z twarzy maseczkę stwardniałą już niemal na kamień,

— To nie tak...

Błagania Gio trafiły w próżnię.

Znalazłszy się w łazience, zaczęła zmywać zieloną papkę. Jej przebranie było wspaniale. Mogłaby się założyć, że policyjny detektyw, z którym niedawno zerwała, nie poznałby jej. Uwolniona od twardej maseczki twarz trochę piekła. Elizabeth przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze.

— Tchórz — powiedziała bezgłośnie.

Uciekła z kuchni nie tylko po to, by doprowadzić do porządku swój wygląd, ale przede wszystkim dlatego, że zaczęła zdawać sobie sprawę, że pragnie, by Alec właśnie ją wybrał na swoją Walentynkę.

Obawiała się, że wyczyta całą prawdę z jej oczu — jedynej odsłoniętej części twarzy.

Ponowne spotkanie z Alekiem sprawiło, że powróciły wspomnienia, a także w pewien sposób wyjaśniło się, dlaczego żaden mężczyzna, z którym się spotykała, nie spełniał jej oczekiwań. Podświadomie wszystkich porównywała z Alekiem, ale żaden mu nie dorównywał.

Wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że nie będzie mogła wieść normalnego życia, dopóki nie rozezna się w swoich prawdziwych uczuciach do niego.

Zawsze zachowywał się wobec niej bardzo uprzejmie. Opatrywał jej podrapane kolana, tłumaczył, że aparat na zębach wcale jej nie szpeci, i cierpliwie wysłuchiwał opowieści o wszystkich kłopotach. I dlatego właśnie stał się dla niej postacią niemal mityczną. Jak mogła oczekiwać, że ktokolwiek będzie w stanie mu dorównać?

Miała już uporządkowane sprawy zawodowe, czas się wreszcie zająć życiem osobistym; wyjść za mąż, założyć rodzinę. Pragnęła stworzyć dom

pełen ciepła i miłości — jak ten, w którym się wychowywała. Teraz jednak wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie, jeśli jej wybranym nie będzie Alec. Tylko on się liczył.

Musi go zdobyć, a na początek — sprawić, by zaprosił ją na randkę w Dzień Zakochanych. Ale jak tego dokonać?

Pozostawał jeszcze problem Gio. Brat się wścieknie, kiedy usłyszy, że jego najlepszy przyjaciel, zaliczający wszystkie kobiety jak leci, właśnie spotyka się z jego siostrzyczką.

Następnego dnia Alec wybrał się na boisko baseballowe na Busch Memorial Stadium. Pod pokrywą śniegu wyglądało inaczej niż zwykle. Przypomniało mu się, jak przychodzili tu z Gio na mecze. Potem sam zaczął grać. Od wielu lat słuchał tłumów wiwatujących na jego cześć. Rzadko kogoś w ten sposób chwalono za dobrze wykonaną pracę.

Baseball dał mu bardzo wiele.

Kobiety. Mnóstwo kobiet.

Ale nie takich jak Elizabeth. Już zapomniał, jak dobrze czuł się w jej towarzystwie. Zawsze wyczuwał w niej coś szczególnego. Nawet kiedy była jeszcze dzieckiem, umiała sprawić, że czuł się jak członek rodziny Bonnettich.

Ale tak wcale nie było. Nie należał do żadnej rodziny. Był sam.

Kobiety, z którymi się spotykał, nauczyły go nieufności. Zawsze bardziej interesowało je afiszowanie się z zawodowym sportowcem niż z Alekiem McCordem. Dzięki niemu mogłyby wieść bardzo dostatnie życie.



Na swoich przyjaciółkach zawsze przeprowadzał pewien test. Kiedy czuł, że ich związek zmienia się w coś poważnego, mimochodem napomynał, że marzy o prowadzeniu drużyny baseballowej w szkole średniej.

To działało jak zaklęcie. Kobiety znikwały. Ale Elizabeth z pewnością postąpiłaby inaczej.

Był tylko jeden szkopuł. Gdyby Gio dowiedział się, że Alec rozmyśla o jego siostrzyczce, zabiłby go na miejscu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

— Albo przyspiesz, albo zacznij chodzić pieszo — mruknęła Elizabeth do łysego typa pykającego z cygara w starym cadillaku, który jechał przynajmniej pięćdziesiąt kilometrów” poniżej dozwolonej prędkości, do tego środkiem dwóch pasów. W końcu udało jej się go wyprzedzić, ale i tak w godzinach szczytu na autostradzie numer 270 tworzyły się gigantyczne korki. Zniecierpliwiona, zjechała z niej wcześniej i boczną szosą pojechała do Lindbergh odebrać zamówioną kolację.

Tuż po jej przyjeździe do biura popsuł się automat do kawy. Zaraz potem zadzwonił asystent z wiadomością, że jest chory i nie przyjdzie do pracy. Od tego czasu już wszystko szło nie tak. Trwał strajk w jednym z hoteli, przez co grupa turystów została bez dachu nad głową. Porządkowanie tego

bałaganu zajęło jej cały dzień, a i tak kilka minut później popsuł się komputer.

Uznała to za zły omen, zamknęła biuro pół godziny przed czasem, lecz niewiele to pomogło. Do restauracji „Fuddrucker’s” dotarła dopiero o szóstej. Jediną pozytywną rzeczą tego wstrętnego, zmarnowanego dnia był najnowszy numer tygodnika „Riwer City CaU”, który kupiła wychodząc z lokalu.

Ogłoszenie Aleca będzie w rubryce towarzyskiej. To była pierwsza rzecz, jaką sprawdziła po powrocie

do domu, podjadając zimne frytki. Przerzuciła strony poświęcone najważniejszym wydarzeniom politycznym i wiadomościom kulturalnym, aż wreszcie dotarła do ogłoszeń.

Wepchnęła miseczkę chili i torebkę frytek do kuchenki mikrofalowej, nastawiła zegar na jedną minutę i zaczęła przeglądać rubrykę towarzyską. Wiedziała, że bez problemu rozpozna ogłoszenie Aleca. Jak małe dziecko przekradła się wtedy późno w nocy do kuchni i odszukała brudnopis. Nawet ona musiała przyznać, że tekst

nie był zły.

— Jest! — wykrzyknęła radośnie, gdy wreszcie je znalazła.

*Twoim stopom potrzeba masażu?*

*Tobie — bajki na dobranoc?*

*Twojemu libido — silnych wrażeń?*

*Zostań moją wymarzoną Walentynką. Bezsenny w St. Louis*

Gio i Alec bezwstydnie wykorzystali tytuł filmu i jego hasła reklamowe. Elizabeth wiedziała jednak, że takie ogłoszenie zadziała jak magnes. Alec dostanie tyle odpowiedzi, że nie będzie wiedział, co z nimi zrobić.

Musi coś wymyślić, żeby z całej sterty listów wybrał ten od niej.

Rozległ się dzwonek kuchenki mikrofalowej. Elizabeth wyjęła gotowe jedzenie, zastanawiając się, kiedy właściwie postanowiła poderwać Aleca. Czy wtedy, gdy stał w kuchni z talerzem hamburgerów, szczęśliwy, że ją znowu widzi? Czy może wtedy, gdy wcale się nie śmiał, widząc ją przy stole z zieloną papką na twarzy, tylko żartował z niej tak, jak to robił przez te wszystkie lata?

Uwielbiała czwartkowe wieczory.

Gio nigdy nie wracał z koncertów przed północą miała więc cały dom do swojej dyspozycji. Jej rytuał stanowiło oglądanie telewizji. Chwila wytchnienia po wycieńczającej pracy w turystyce. Blok półgodzinnych programów rozrywkowych między siódmą a dziewiątą nazywała swoją „przerwą dla zdrowia psychicznego”. Nic nie mogło zakłócić jej spokoju. Kiedy program się skończy, zmieli garść świeżych ziarenek kawy, zaparzy je i wymyśli jakąś odpowiedź na ogłoszenie Aleca.

Znała go od zawsze. Na pewno uda jej się napisać doskonały list. W każdym razie taki, jaki chciałby otrzymać, nawet gdyby w tym celu musiała wydusić z brata kilka informacji.

Naturalnie, w bardzo dyskretny sposób. Gio nie może się dowiedzieć, do czego zmierza jego siostra.

Piątek zapowiadał się radosny i słoneczny.

W podobnym nastroju była Elizabeth.

Wzięła szybki prysznic, odgarnęła włosy z twarzy i związała je w koński ogon. Przygotowując sobie śniadanie w kuchni — grzanekę z dżemem i szklanką mleka

— starała się zachowywać jak najciszej, żeby nie obudzić Gia.

Drogi Bezsenny w St. Louis! Stoję twardo na ziemi.

Szykując się do wyjścia do biura, spojrzała jeszcze raz na ostateczną wersję odpowiedzi na ogłoszenie Aleca, nad którą pracowała do północy...

Marzę o mężczyźnie, który mnie nie okłamie.

Zgubiłam jednak moje libido..

Dla znalazcy — nagroda.

Elizabeth, zadowolona z wyniku swojej pracy, szybko podpisała się pod spodem jako „Libby”, bo tego zdrobnienia nigdy nie używała.

Złożyła kartkę i włożyła ją do koperty bez żadnych nadruków. Przepisała z gazety adres biura ogłoszeń, a zamiast swojego adresu zwrotnego podała numer skrytki pocztowej, którą wynajęła specjalnie do tego celu. W ten sposób ani Alec, ani Gio nie dowiedzą się za prędko, kim naprawdę jest „Libby”

W drodze do pracy wrzuciła list do Aleca do skrzynki pocztowej.

Teraz wszystko zależy od losu.

W poniedziałek postanowiła jednak trochę losowi dopomóc.

Ubrała się starannie w tradycyjny granatowy kostium, bez żadnej biżuterii, a włosy związała gładko w koczek. Zanim wyszła z domu, przez pół godziny ćwiczyła przed lustrem swoją przemowę.

Czy się uda? — myślała, wjeżdżając na parking w centrum miasta na przeciwko siedziby „Riyer City Cali”. Ręce miała spocone, w gardle jej zaschło, ale już za chwilę miało się wszystko wyjaśnić.

Wjechała windą na górę, a recepcjonistka skierowała ją do działu ogłoszeń na końcu korytarza. Nie było tam nikogo poza starszą kobietą, piszącą coś na maszynie przy jednym ze stolików.

— Przepraszam... — zaczęła Elizabeth, a kobieta dopiero wtedy zauważyła jej obecność.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytała, odrywając się od maszyny.

— Jestem Pat Brackman, detektyw. — Dla potwierdzenia swych słów wyjęła wizytówkę swojego byłego chłopaka, po czym szybko schowała ją do torebki.

— Co mogę dla pani zrobić? — spytała kobieta, niewiele bardziej zainteresowana gościem niż pisaniem, które właśnie przerwała. — Wszyscy są w tej chwili na konferencji.

— To nie potrwa długo — zapewniła ją Elizabeth, mając nadzieję, że w jej głosie wyczuwa się autorytet. — Chciałam jedynie przejrzeć wszystkie odpowiedzi, które otrzymaliście państwo na tę konkretnie ofertę. — Podała kobiecie gazetę z zakreślonym na czerwono ogłoszeniem Aleca.

— Jakieś problemy, pani detektyw? — Teraz już kobieta zdecydowanie bardziej zainteresowała się Elizabeth niż swoim pisaniem. — Może powinnam pójść po kogoś...

— Ależ nie, to nie będzie konieczne. Muszę jedynie przejrzeć wszystkie listy. Nie zamierzam ich ze sobą zabierać.

W takim razie... Myślę, że da się to załatwić. Proszę poczekać, zaraz ich poszukam — poprosiła, zabierając ze sobą gazetę.

Elizabeth przestępowała nerwowo z nogi na nogę. Wydawało jej się, że czeka całą wieczność. Nagle w holu za sobą usłyszała kroki i odwróciła się gwałtownie.

— Gdzie jest Tilly? — zapytał młody mężczyzna, popychając przed sobą wózek z pocztą.

— Ach, Tilly... Właśnie poszła coś sprawdzić. Ma zaraz wrócić. Jeśli pan chce, mogę to za nią odebrać.

— Dziękuję — powiedział, najwyraźniej chcąc wrócić do swojej pracy. — Mam dziś spore opóźnienie — wyjaśnił, wręczając jej całą stertę listów związanych grubą gumką.

Elizabeth szybko przejrzała całą korespondencję. Ku jej rozpaczy, większość stanowiły odpowiedzi na ogłoszenie Aleca. Sporo było kopert podobnych do tej, której sama użyła. W kilku pastelowych z pewnością mieściły się kartki z wydrukowanymi pozdrowieniami. Jedna czy dwie z nich były perfumowane. Pozostałe dwie pochodziły z bardzo eleganckiej papeterii. Wykonywano je na zamówienie, drukując od razu dane nadawcy.

— Bardzo przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu, pani detektyw. Sporo już tego przyszło — odezwała się Tilly, przechodząc między pustymi biurkami i ciągnąc za sobą po podłodze szarą torbę pełną listów.

— To wszystko odpowiedzi na to jedno ogłoszenie?

— spytała Elizabeth z niedowierzaniem. — Jest pani pewna?

— Niestety, tak.

— A to właśnie przyszło — powiedziała Elizabeth, wręczając Tilly paczkę, którą trzymała w ręku, i zabierając od niej torbę, po czym obieabrały się do przeglądania poczty.

— Znalazłam — odezwała się po chwili Elizabeth, wyciągając swoją kopertę. — Teraz proszę mnie uważnie wysłuchać. Zatrzyma pani wszystkie listy z wyjątkiem tego jednego. Kiedy ten mężczyzna zgłosi się po odpowiedzi, powie mu pani, że przyszła tylko ta jedna.

— Ale co mam zrobić z całą resztą? — zapytała Tilly, dorzucając do torby kolejne koperty.

— Przechowa je pani przez kilka dni, a potem mu je odda. Na razie musi dostać tylko ten list.

— Coś nie tak? — zaciekawiała się starsza pani, opuszczając okulary na czubek nosa.

— Śledzimy tego człowieka — wyjaśniła Elizabeth, mając nadzieję, że się nie czerwieni. — Ten list został napisany przez policjantkę. Wysłaliśmy go pocztą, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

— Śledzicie go? O mój Boże! — wykrzyknęła zdumiona Tilly. — Przypuszczam, że nie może mi pani zdradzić, dlaczego.

Elizabeth potrząsnęła przecząco głową.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że wykorzystywał kobiety i ja... to znaczy, policja, chce położyć temu kres.

— Rozumiem.

Elizabeth próbowała stłumić w sobie poczucie winy na myśl o ponurych wyobrażeniach, jakie jej słowa musiały rozbudzić w umyśle Tilly.

— Proszę dopilnować, żeby otrzymał tylko ten list.

— Oczywiście, pani detektyw. Osobiście tego dopilnuję.

— To dobrze. Nasz wydział potrafi docenić współpracę prasy.

Misja się powiodła. Elizabeth ruszyła w stronę wyjścia, zmuszając się do spokojnego kroku, chociaż miała ochotę uciec stąd jak najszybciej, zanim ktoś się zorientuje, że wcale nie jest oficerem policji.

Resztę popołudnia spędziła, przygotowując wycieczkę dla Toronto Blue Jays po najpiękniejszych częściach miasta. Oczywiście, pracując z drużyną baseballową, nie mogła nie myśleć o Alecu i Tilly, która już prawdopodobnie rozpuściła plotki na jego temat wśród wszystkich pracowników gazety.

Elizabeth miała dziwne uczucie, że rozpoczęła coś, czego nie da się odwrócić. Miała tylko nadzieję, że nie skończy się to dla niej źle.

— Musisz pójść ze mną — nalegał Alec.

— Czyżbyś się rozmyślił? — zaszydził Gio, siadając obok kolegi, podczas gdy reszta zespołu pakowała instrumenty po skończonym koncercie.

— Wcale się nie rozmyśliłem. Poczęstuj się — powiedział Alec, podsuwając koledze talerz do połowy wypełniony krewetkami, po czym wezwał kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kolejkę piwa. — Chcę tylko, żebyś mnie wspierał moralnie, kiedy pójdę jutro do „River City Call” po odpowiedzi na ogłoszenie.

Gio włożył krewetkę do ust i zaczął ją powoli przeżuwać, udając, że nie może się zdecydować.

— Jeśli z tobą pójdę, to co z tego będę miał? — zapytał po chwili.

— Jak to, co z tego będziesz miał?

Gio uśmiechnął się chytrze.

— Na przykład... czy będę mógł przejrzeć listy, które odrzucisz?



— Szukasz kogoś na randkę? A co z Miss Fitness? Myślałem, że się zakochałeś.

— Bo tak jest. Ale ona nie wierzy, że eksploduję, jeśli nie pójdzie ze mną do łóżka.

— Rozsądna kobieta.

— Przecież nie napisałeś w ogłoszeniu, że jesteś zawodowym baseballistą. Kobieta, którą sobie wybiorę, nigdy się nie dowie, że nie ja jestem jego autorem. Więc co w tym złego?

— Chyba masz rację — przyznał Alec, pocierając w zamyśleniu podbródek. — Kiedy już zdecyduję, która zostanie moją Walentynką, możesz zabrać całą torbę i też sobie wybrać. Nawet dwie, jeśli chcesz.

— Całą torbę listów? — powtórzył Gio, sięgając po następną krewetkę. — Czy my trochę nie przesadzamy?

Alec wzruszył ramionami.

— Pomogłeś mi napisać to ogłoszenie.

— Masz rację — potwierdził Gio, trącając się z kolegą kuflem piwa. — Ale i tak lepiej bym się czuł, gdyby Elizabeth nam wtedy pomogła.

— A propos, co się z nią dzieje? Już nie przychodzi was słuchać.

— Czasami tak, ale ci przecież mówiłem, że rzadko się widzimy. Oboje jesteśmy bardzo zapracowani. Ona siedzi w biurze po godzinach, a ja wieczorami gram w klubach. Wyjechała do South Beach, bo wreszcie wznowili loty.

— Może przed moim wyjazdem na trening wybralibyśmy się gdzieś razem na kolację? Opowiedziałaby mi trochę o St. Petersburgu. Skoro już przenieśliśmy się do St. Louis, niech wszystko znowu będzie po staremu.

— Elizabeth będzie zachwycona.

— Powiedz szczerze, czy ty w ogóle pozwalasz sio strze chodzić na randki? Założę się, że najpierw każesz jej przedstawić sobie każdego nowego faceta — zażarto. wał Alec.

— Niezupełnie — roześmiał się Gio. — Elizabeth sama podejmuje takie decyzje. A jednak, kiedy już ktoś zupełnie mi się nie podoba, przestaje się z nim widywać. Za to, jak już się przy czymś uprze, musi dopiąć swego.

— I o ile pamiętam, zawsze jej się to udaje.

— To fakt.

— Tylko pamiętaj, bez mądrych rad — przykazał Alec następnego dnia, kiedy obaj z Gio wchodzili do redakcji „Riwer City Call”. — Masz mnie tylko wspierać moralnie.

— Oby nie za moralnie. Mam nadzieję, że przynajmniej część tych listów nie pochodzi od mniszek.

Recepcjonistka wskazała im drogę do działu ogłoszeń. Weszli do biura. Telefony się urywały. Pierwszą osobą, która mogła z nimi porozmawiać, była starsza kobieta w okularach. Spuściwszy je na czubek nosa, przyjrzała się im uważnie.

— Jesteśmy razem — wyjaśnił szybko Gio, wskazując na Aleca.

Kobieta popatrzyła na niego wyczekująco.

Alec czuł się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy kupował w aptece prezerwatywy — trochę „podekscytowany i bardzo zażenowany.

— Przyszedłem... odebrać moje listy — wydusił wreszcie.

Kobieta nadal przyglądała mu się tak, jakby był okazem jakiegoś nowego zwierzęcia włożonego pod mikroskop. Alec zastanawiał się, czy nie podobają jej się ogłoszenia zamieszczane w gazecie, czy to może on jej się nie podoba. Prawdopodobnie jedno i drugie.

— Listy? — powtórzyła.

— Tak. Odpowiedzi na moje ogłoszenie, które ukazało się w czwartek. Tu mam jego kopię i numer — wyjaśnił, wyjmując kartkę z portfela.

— Zazwyczaj sami wysyłamy wszystkie odpowiedzi do ogłoszeniodawcy — stwierdziła.

— Ale... przez jakiś czas nie będzie mnie w mieście

— nalegał Alec. — Chciałbym je mieć przed wyjazdem.

— Rozumiem. — Oczy kobiety zmieniły się w wąskie szparki. Spojrzała na ogłoszenie, następnie na numer Ale— ca i nagle zrobiła się przystępniejsza. — Mogę panu wydać listy, jeśli ma pan jakiś dokument tożsamości.

— Dokument tożsamości! — wykrzyknął Gio. — Czy pani ogląda mecze baseballowe? Nie wie pani, kim on jest?

Alec uciszył kolegę wzrokiem.

— To mój przyjaciel, Gio Bonetti — wyjaśnił, wręczając kobiecie swoje prawo jazdy. — Poprosiłem, żeby przyszedł ze mną na wypadek, gdyby ktoś musiał poświadczyć moją tożsamość.

— Wystarczy mi prawo jazdy — odparła, dokładnie je studiując, po czym oddała je Alecowi. — Zaraz przyniosę pańskie listy. Proszę zaczekać.

— Na pewno nie potrzebuje pani naszej pomocy? — zaofiarował się gorliwie Gio.

— Dam sobie radę.

— Tylko nie zapominaj, że ja zabieram wszystko, co odrzucisz — przypomniał Alecowi, gdy kobieta przeszła na drugą stronę biura, gdzie szepnęła coś kilku osobom tkwiącym przy telefonach. Wszyscy po kolei odwrócili się, żeby spojrzeć na obu mężczyzn.

Gio i Alec popatrzyli na siebie, zaskoczeni zainteresowaniem, jakie wzbudzają.

— O co tu chodzi? — spytał szeptem Alec.

Gio wzruszył ramionami.

— Może na twoje ogłoszenie nadeszła rekordowa liczba odpowiedzi...

— Panie McCord, oto pańska poczta.

— To wszystko? — zapytał Alec, odbierając od kobiety jedną kopertę.

— Pani żartuje, prawda? — wtrącił Gio.

— Zapewniam pana, że to nie są żarty — odparła poważnym tonem. — Na pańskie ogłoszenie nadeszła tylko jedna odpowiedź.

— Czy to normalne? Nigdy nie dostajecie więcej listów? — nie ustępował Gio.

— Chodźmy już, Gio przerwał mu Alec.

— Musiała zajść jakaś pomyłka. Sprawdziła pani dokładnie?

— Przykro mi, jeśli pan McCord przywykł do większej liczby odpowiedzi na swoje ogłoszenia, ale zapewniam panów, że na razie dostaliśmy tylko ten jeden list. Może kiedy pan wróci z podróży, będziemy mieli coś jeszcze?

— To było moje pierwsze tego typu ogłoszenie... — zaczął Alec. — Jeszcze nigdy..

— Hm... — mruknęła kobieta, udając, że mu wierzy, ale nagana w jej oczach zdradzała, że jest wprost przeciwnie. Z jakiegoś powodu traktowała go z niechęcią, a nalegania Gio tylko pogarszały sytuację.

— No cóż, w takim razie... Chyba już pójdziemy — powiedział i niemal siłą wyciągnął przyjaciela z biura.

W windzie, którą zjeżdżali do garażu, Gio powrócił do przezwanego tematu.

— To jakaś pomyłka. Musi być więcej listów.

Alec roześmiał się tylko.

— Nie jesteś rozczarowany? — spytał zaskoczony Gio.

— To ty jesteś rozczarowany. Chciałeś zabrać całą resztę.

— Tak, ale żeby tylko jeden list!

— Może to zrządzenie losu? Może ta kobieta okaże się miłością mojego życia?

— Raczej katastrof przed którą cię ostrzegałem — mruknął Gio.

Tydzień po wizycie w „Riyer City Cali”, wracając z pracy do domu, Elizabeth wstąpiła do delikatesów z francuskimi przysmakami. Zamówiła sałatkę z kurczaka, kilka bułeczek, a potem zatrzymała się przy stoisku ze słodyczami. W „Carolyn's” zawsze miała kłopoty z dokonaniem wyboru. Oferowano tu pięć różnych rodzajów sałatki z kurczaka, w tym jedna, nosząca imię właścicielki, dzięki której sklep zyskał wielu stałych klientów i szybko musiał się przenieść do większego lokalu.

Słodkości na wystawie zawsze były tak pięknie wyeksponowane, że ślinka ciekła na sam ich widok. Elizabeth czuła się jak dziecko, kiedy tak

stała z nosem przyklejonym do szyby, próbując coś dla siebie wybrać. W końcu zdecydowała się na ciasto bananowe.

Następny postój wyznaczyła sobie przy poczcie, chcąc sprawdzić, czy przyszła odpowiedź od Aleca. Cały dzień miała dziwne przeczucie, że jego list już na nią czeka.

Po drodze włączyła kasetę z muzyką Cajunów, którą kupiła w Nowym Orleanie po obejrzeniu filmu z Dennisem Quaidem i Ellen Barkin. Wprawdzie niezbyt podobał jej się Dennis Quaid, za to zakochała się w atmosferze miasta i jego muzyce.

Po dwudziestu minutach dojechała na pocztę. Na parkingu aż roiło się od sekretarek odwożących listy służbowe, ale w końcu udało jej się znaleźć wolne miejsce. Weszła do budynku, zaczerpnęła powietrza, przymknęła powieki i dopiero wtedy przekręciła klucz w zamku skrytki.

Po chwili otworzyła oczy, wydając z siebie jęk rozkoszy i rozglądając się dokoła z zakłopotaniem. Wszyscy pochłonięci byli własnymi sprawami i nikt nie zwracał na nią uwagi. Każdy chciał jak najszybciej wrócić do domu na kolację. Elizabeth sięgnęła po list.

Pismo Aleca poznałaby nawet wtedy, gdyby nie podał adresu zwrotnego. Powstrzymała się od natychmiastowego otworzenia koperty, choć miała na to wielką ochotę. Zamknęła skrytkę, zabrała list do samochodu i położyła go na ulotkach reklamowych, które miała przejrzeć wieczorem.

Jest już dorosła. Może zaczekać z przeczytaniem listu, tak jak nie zagląda do białej torebki z delikatesów Carolyn, stojącej na podłodze po stronie pasażera.

Kiedy dotarła do domu, odetchnęła z ulgą — Gio jeszcze nie wrócił.

Położyła broszury i list na stole, zdjęła płaszcz i zabrała się do rozpakowywania kolacji. Sałatkę z kurczaka podzieliła na dwie części, po czym porcję dla Gio schowała do lodówki, wyjmując z niej otwartą butelkę wina.

Kilka minut później, kiedy skończyła jeść, otworzyła list od Aleca.

*Droga Libby!*

*Spotkajmy się w Dniu Zakochanych o godz. 19.00 przy pomniku w holu Adam's Mark. Będę miał czerwoną różę wpiętą w klapę marynarki.*

*Szczerze mówiąc, jestem pewien, że razem uda nam się odnaleźć twoje zagubione libido... choć może w tym celu będę musiał oderwać Cię od ziemi. Ale na pewno nie będziesz tego żałować. Obiecuję.*

*Bezsenny — lecz pełen nadziei — w St. Louis.*

Elizabeth uśmiechnęła się od ucha do ucha i z radością sięgnęła po czekający już na tę chwilę kawałek ciasta bananowego. Taki moment trzeba uczcić.

— Mówiłem, że powinieneś wspomnieć, że jesteś zawodowym baseballistą — powiedział Gio, kiedy tego samego dnia wieczorem planowali randkę Aleca, Siedzieli w kuchni w mieszkaniu Bonettich. Elizabeth położyła się spać kilka godzin wcześniej.

— Nie, na tym właśnie polegał cały pomysł. Chciałem zobaczyć, jakle kobiety odpiszą, nie wiedząc, kim jestem.

— Chciałeś powiedzieć: jaka kobieta. Dostałeś tylko jeden list.

— Nie musisz mi o tym przypominać — westchnął Alec, wpatrując się w kopertę.

— Czy nie sądzisz, że mogła tu zajść jakaś pomyłka?

Raczej nie przypadłeś Tuły do gustu. Może zniszczyła pozostałe odpowiedzi. — W oczach Gio pojawiły się wesołe iskierki. — A może to jest list od Tilly?

Alec spojrzał ponuro na kolegę pałaszującego sałatkę z kurczaka.

— To był żart — wyjaśnił Gio między jednym a drugim kęsem.

— Mało zabawny — mruknął Alec. — Daj już spokój. Powinniśmy zaplanować to spotkanie. Pamiętaj, że musi się udać za pierwszym razem. Dostaliśmy tylko jedną odpowiedź, więc jak to nie wypali, nie będę miał nic w rezerwie.

— Dobrze, dobrze. To co już mamy?

— Limuzynę, bukiet długich, czerwonych róż na przednim siedzeniu.

Kolację na statku „Robert E. Lee”...

— To nie przejdzie.

— Co nie przejdzie?

— Statek. Jest zamknięty. Będą go remontować jeszcze przez kilka miesięcy.

Alec wykreślił restaurację z listy.

— To co proponujesz? W końcu to twoje miasto.

— „Tony’s” — powiedział Gio bez wahania. — Najlepsza restauracja w St. Louis. Pięciogwiazdkowa! Co jeszcze?

— Na razie nic więcej. Najwyżej jakieś pudełko czekoladek u mnie w domu. W końcu to Walentynki.



— Nie, to zbyt oklepane. Wybierz coś innego. Wiem! Czekoladowe ciasteczka z orzechami! Elizabeth je uwielbia! — Alec skwapliwie wpisał je na listę. — Co planujesz po restauracji? Chcesz ją od razu zabrać do siebie?

— Romantyczniej byłoby najpierw wjechać na Gateway Arch, zobaczyć miasto nocą...

— Naprawdę? Nigdy tam nie byłem. Ale w końcu ja tu mieszkam. Atrakcje turystyczne dostrzegam wszędzie, tylko nie w St. Louis.

— Powinieneś się tam kiedyś wybrać. Niesamowity widok, zwłaszcza nocą.

— Jeśli kiedykolwiek uda mi się namówić Miss Fitness...

— Jeszcze próbujesz ją złamać?

— Kiedyś mi się uda — zapewnił go Gio. — Ale wróćmy do ciebie. Zakładam, że podstawowe rzeczy masz. Szampan, muzyka, zabezpieczenie...

— Oczywiście. To chyba wszystko — powiedział Alec, składając kartkę.

— Prawie. — W oczach Gia ponownie zabłyśły wesołe iskierki. — A co zrobisz, jak się okaże, że ta kobieta to niewypał?

— Zachowam się bardzo kulturalnie i zakończę naszą randkę na Gateway Arch. A potem podam jej twój numer telefonu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Alec spojrział na zegarek. Stał właśnie przy okazałej, ponad dwuipółmetrowej rzeźbie z brązu przedstawiającej olbrzymiego konia. Miał nadzieję, że on wygląda równie imponująco. Była za dziesięć siódma. Specjalnie przyszedł wcześniej, żeby nie przegapić Libby. Nie chciał żadnych komplikacji na tej randce.

W chwili, kiedy o tym pomyślał, komplikacje się pojawiły. Po drugiej stronie konia stanął inny mężczyzna z czerwoną różą w klapie. Świetnie. Przecież nie może powiedzieć temu facetowi, żeby spłynął, ale co będzie, jeśli Libby ich pomyli?

Nie wiedział dlaczego, ale odpowiadał mu fakt, że dostał tylko jedną odpowiedź na swoje ogłoszenie. W pewien sposób nie musiał ponosić za nic odpowiedzialności. Jeśli chodzi o kobiety, nie trafiał najlepiej.

Chociaż z drugiej strony przecież nigdy nie wybierał. Brał to, co samo wpadało w ręce. Nigdy nie próbował żadnej zdobyć i pewnie dzięki temu nigdy nie wyszedł na głupca. To było dla niego szalenie ważne. Żadna kobieta nie zrobi z niego głupca, tak jak jego matka uczyniła to z ojcem.

Spojrzał w bok i spróbował za pomocą telepatii zmusić mężczyznę z różą w klapie do odejścia. Zastanawiał się równocześnie, jak wygląda jego Libby. Zdaniem Gio, nie poprosić o zdjęcie, to już była kompletna głupota.

Libby stała po drugiej stronie holu przy windach.

Przyjechała wcześniej i wślizgnęła się bocznym wejściem, po czym kupiła sobie gazetę w kiosku. Teraz, udając, że czyta, i zasłaniając sobie nią twarz, obserwowała Aleca. Moment ich spotkania zbliżał się nieubłaganie, a ona była równie przerażona, co podekscytowana myślą o zdradzeniu swojej tożsamości.

Co powie Alec, kiedy się dowie, że Libby to jego sąsiadka, Elizabeth Bonetti? Ale ona musi doprowadzić swój plan do końca. Sprawić, żeby myślał o niej jak o kobiecie — pociągającej kobiecie — a nie jak o małej siostrzyczce Gio. Sprawić, żeby jego oczy zalśniły pożądaniem.

Czarny smoking Aleca doskonale pasował do jej czerwonej sukni, specjalnie wybranej na tę okazję.

Podobnie jak on, Elizabeth oddała płaszcz do szatni, chcąc mu się od razu zaprezentować w kreacji, za którą zapłaciła połowę miesięcznej pensji.

Wiedziała doskonale, że początkowo Alec będzie protestował, bo była siostrą Gio, który, jako typowy nadopiekuńczy brat, z pewnością nie zgodziłby się, żeby taki kobieciarz jak Alec się z nią spotykał. Nie, Gio raczej wolałby, żeby wstąpiła do klasztoru.

Wybiła siódma.

Elizabeth zaszyła się w toalecie i po raz ostatni sprawdziła swój wygląd. Wygładziła spódnice, pomalowała usta jaskrawoczerwoną szminką. Pochyliła się do przodu, potrząsnęła głową, a następnie odrzuciła ją do tyłu, pozwalając, by burza ciemnych włosów opadła jej luźno wokół twarzy. Poprawiła jeszcze wisiołek spoczywający na piersiach, mający od razu skierować uwagę Aleca na — zdaniem Elizabeth — najlepszą część jej ciała. Tego wieczoru szła na całość. To był jedyny sposób.

Nie uszło jej uwagi, że drugi mężczyzna czekający przy pomniku też ma w klapie czerwoną różę. W taki dzień jak ten nie stanowiło to niczego niezwykłego. Nie mogła przepuścić okazji i nie podejść najpierw do tego drugiego. Czy Alec poczuje się rozczarowany, kiedy zobaczy, że to nie z nim się umówiła? Czy w ogóle ją rozpozna? A jeśli tak, co wtedy zrobi?

No, już czas, pomyślała zdenerwowana. Poczowała dziwny ciężar w sercu, jej ręce pokryły się potem.

Starając się uspokoić, ruszyła w stronę rzeźby. Alec w smokingu wyglądał naprawdę wspaniale. Miała nadzieję, że ona spodoba mu się choćby w połowie tak bardzo, jak on jej. Po raz kolejny spojrzął na zegarek. Wiedziała, że jest już kilka minut po siódmej.

— Barbara? — zapytał drugi mężczyzna z nadzieją w głosie, co pomogło Elizabeth nabrać pewności siebie.

Pokręciła przecząco głową.

— Przykro mi.

Na dźwięk rozmowy Alec odwrócił się w ich stronę. Spojrzał na nią z wyrazem uznania na twarzy... uznania, które chwilę później ustąpiło miejsca niedowierzaniu.

— Czekasz na kogoś? — zapytała, starając się, by jej głos zabrzmiał normalnie.

— Elizabeth? — wydusił zaskoczony.

— Nie... Libby.

— Ty! Nie, to niemożliwe. Jakim cudem...? Ty?

— Ja — odparła z uśmiechem.

— Nie, to naprawdę niemożliwe — powtórzył, potrząsając głową i odsuwając się od niej. — Ale jak? Dlaczego?

— A dlaczego nie?

Nie po to zadała sobie tyle trudu, żeby teraz wszystko spaliło na panewce. Spodziewała się jego protestów, ale również przypuszczała, że jak zawsze zdoła go przekonać. Alec nigdy niczego nie potrafił jej odmówić i miała nadzieję, że nadal tak będzie.

— Na Boga, Gio mnie zabije! Musiałbym upaść na głowę, żeby iść na randkę z jego siostrzyczką, nawet jeśli wygląda na najpiękniejszą kobietę na świecie! Elizabeth, jestem stanowczo za młody, żeby umierać.

Powiedział, że wygląda na najpiękniejszą kobietę na świecie! Już go ma.

— Ale musisz — nalegała, otwierając szeroko oczy.

— Och nie, tylko nie próbuj ze mną tych swoich sztuczek. Tym razem nic z tego — zaklinał się Alec, lecz chyba bardziej chciał przekonać o tym sobie niż ją.

— Gio o niczym się nie dowie... — zaczęła.

— Elizabeth, nie.

— Ale..

— Nie!

Czas pójść na całość. Czas na łzy. To jedyna rzecz, jakiej Alec McCord nigdy nie umiał się przeciwstawić.

— Co powiem koleżankom? — zaszlochała. — Że mężczyzna, z którym się umówiłam, spojrział na mnie i wziął nogi za pas? Proszę, Alec... — błagała, ocierając mokre policzki.

Zwracali na siebie uwagę. Mężczyzna z różą w klapie, a nawet przechodnie, zerkali ciekawie w ich stronę.

— Na Boga, Elizabeth, przestań — szepnął Alec, podając jej chusteczkę.

— Czy to znaczy, że nasze spotkanie jednak dojdzie do skutku? — zapytała, pociągając nosem.

— Ale tylko to jedno — skapitulował. — I musisz mi obiecać, że twój brat nigdy się nie dowie.

— Obiecuję — zgodziła się szybko, oddając mu chusteczkę i obdarzając słodkim uśmiechem, podczas gdy on naprędce próbował tak pozmieniać plany na wieczór, żeby uniknąć śmierci z ręki Gia.

— Możemy pojechać na kręgle — zaproponował.

— W tych strojach? — Elizabeth spojrzała na swoją suknię. — Wykluczone. Chcę, żeby było tak, jak to zaplanowaliśmy z Gio. Powiedziałam wszystkim koleżankom...

— Niech ci będzie. Nigdy nie potrafiłem ci niczego odmówić. Ale kolacja na statku nie wchodzi w rachubę,

— Dlaczego?

— Bo do maja jest zamknięty z powodu remontu.

— A ja miałam taką ochotę na romantyczną kolację na statku — westchnęła Elizabeth, robiąc wszystko, by zaczęła jej drzeć broda. Wiedziała, że powinna się wstydzić, ale w końcu to był Dzień Zakochanych, a ona umówiła się z Alekiem McCordem. I do licha, chciała romansu.

— Boże, jak można czegokolwiek odmówić kobiecie ubranej w taką suknię? Kiedy ty dorosłaś i dlaczego ja tego nie zauważyłem?

— Długo cię nie było w St. Louis.

— Fakt, ale już wróciłem. Co ja wygaduję? — Alec zasłonił twarz rękoma. — Gdyby Gio się dowiedział, zabiłby mnie na miejscu... Chodźmy po płaszcze. Mam pomysł.

— Tylko nie próbuj odwieźć mnie do domu — ostrzegła. — Żadnych sztuczek. Obiecałeś mi randkę.

— Tylko jedną — przypomniał.

Przy odrobinie szczęścia to mi wystarczy, pomyślała Elizabeth.

— Tylko jedną — zgodziła się.

To nie może być prawdą.

Właśnie spotkał najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widział, i okazuje się, że to młodsza siostrzyczka jego najlepszego przyjaciela. Kiedy ona wyrosła z dziecinnych kucyków? Zdaje się, że zasłużył na to, by złośliwy los potraktował go w ten sposób.

Po wyjściu z budynku Alec wziął Elizabeth pod ramię i zaprowadził do limuzyny. Kiedy już oboje usadowili się wygodnie, poprosił kierowcę, żeby zawiózł ich na Wharf Street, nad sam brzeg Missisipi.

Limuzyna ruszyła przez Chestnut we wskazanym kierunku ulicą wyłożoną kocimi łbami, Kiedy kierowca skręcił, chcąc sobie skrócić drogę, Alec polecił mu się zatrzymać.

— Żartujesz, prawda? — zapytała Elizabeth, wyrzawszy przez okno.

Nie zwracał na nią uwagi. Kierowca odwrócił się do tyłu, lecz Alec zdążył już wysiąść i właśnie podawał rękę Elizabeth.

— No chodź, mała. Nie dąsaj się.

Westchnęła, ale wysiadła z samochodu.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknęła, wpatrując się w restaurację, która miała zastąpić romantyczną knajpkę na „Robercie E. Lee”.

— Powiedziałaś, że chcesz jeść na statku...

— Ale to „McDonald”!

— Restauracja na statku. Wszystko się zgadza.

— Mógłbyś mi powiedzieć, co tu się zgadza? — zapytała, kiedy prowadził ją do środka, ostrożnie, żeby sobie nie skrzyła nogi na bruku.

— A dokąd miałbym zabrać dziecko, jak nie do „McDonalda”?

— Nie jestem dzieckiem.



Oczywiście, miała rację. Nie była dzieckiem. Była piękną, pociągającą kobietą.

Zaprowadził ją do stolika przy oknie wychodzącym na rzekę, a sam poszedł do kasy.

— Na obsługę nie możesz narzekać — zażartował, gdy kilka minut później wrócił, niosąc cheeseburgery, frytki i napoje.

— Wszyscy na nas patrzą — oświadczyła, kiedy postawił przed nią tacę zjedzeniem. — Nie wydaje mi się, żeby wiele osób przychodziło tu w smokingach i sukniach wieczorowych.

— Jesteśmy więc prekursorami nowej mody, Libby. — Nazywając ją tym imieniem, wreszcie odzyskał kontrolę nad sytuacją — Co cię podkusiło, żeby odpowiadać na moje ogłoszenie? — zapytał — Zawarłaś z koleżankami jakiś szalony zakład? Próbujesz rozwścieczyć Gia? Czy może to, co zwykle? Po prostu lubisz się ze mną widywać...

— Otóż to — potwierdziła. — Po prostu lubię się z tobą widywać — powtórzyła, nadgryzając cheeseburgera.

Dlaczego mam to dziwne uczucie, że zaczęła jeść, żeby nie powiedzieć czegoś więcej? — zastanawiał się Alec. Do czego właściwie ona zmierza? Przez te wszystkie lata przyzwyczał się do jej szalonych pomysłów — nigdy nie potrafił jej od nich odwieść, stąd wniosek, że nie pozostaje mu nic innego, jak poddać się biegowi zdarzeń.

Cokolwiek knuje Elizabeth, nie może to być takie złe.

Tak długo, dopóki nie będzie spoglądał na migoczący wisiołek, a co ważniejsze — na tło, na którym tak wspaniale się prezentował.

Zanurzył kilka frytek w ketchupie, włożył je do ust i o mało się nimi nie udławił na wspomnienie listu od Elizabeth.

Podobało mu się w niej to, że stoi twardo na ziemi.

Że szuka prawdomównego mężczyzny.

Ale to ta część o zagubionym libido tak nim wstrząsnęła. Chyba Elizabeth nie myśli, że on...

Gio by go zabił na miejscu!

Oczywiście, brat Elizabeth popierał pomysł wspaniałego romansu na jedną noc, ale nie z jego siostrą.

Alec doszedł więc do wniosku, że Elizabeth żartuje. To w jej stylu. Może sobie wyglądać na dorosłą kobietę, ale jego nie oszuka. To jest ta sama dziewczynka, która zdenerwowana, z podrapanymi kolanami przybiegała do niego po ratunek. Najwyraźniej doszła teraz do wniosku, że fajnie będzie włączyć go do swojej zabawy.

Mimo najszczęśliwszych chęci, jego wzrok ponownie spoczął na wisiorku. Fatalnie się składa, że Elizabeth jest siostrą Gio. Gdyby nie to, wziąłby ją do łóżka, domagając się obiecanej w liście nagrody.

— Wszystko w porządku? — spytała zatroskana, kiedy przestał kasłać i sięgnął po wodę mineralną.

Nie, nic nie jest w porządku. I wiedział, że sytuacja się nie poprawi, dopóki nie odwiezie Elizabeth do domu, gdzie będzie bezpieczna... albo raczej — to on będzie bezpieczny.

— Nic mi nie jest — skłamał.

— Wiesz — odezwała się rozmarzona, spoglądając na rzekę za oknem.  
— To musiał być niezwykle romantyczny widok, te statki zawijające do portu przed stu laty, żeby zabrać towar i pasażerów do Nowego Orleanu...

— Tak, już sobie wyobrażam ciebie na jednym z nich. Pierwszą rzeczą, jaką byś zrobiła, to złapałabyś jakiegoś hazardzistę, który...

— Co miało oznaczać to „złapałabyś”? — przerwała mu. — Sama bym została hazardzistką.

Alec potrząsnął głową.

— W dziewiętnastym wieku kobietom nie wolno było grać.

— To by się jeszcze okazało.

— No tak, ty byś pewnie postawiła na swoim — przyznał pobłaźliwie Alec. — Dobrze, że wyżywasz się w pracy zawodowej, a nie w małżeństwie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — skrzywiła się.

— Że małżeństwo z tobą wyglądałoby jak jeden z odcinków serialu „Kocham Lucy”

— Alec, cofnij to, co powiedziałeś.

— Dlaczego? Przecież to prawda. Jediną rzeczą niebezpieczniejszą od zawodowego miotacza jesteś ty jako żona,

— Jeśli chcesz wiedzieć, to już dawno mogłam szczęśliwie wyjść za mąż.

— Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

— Bo przez tę agencję nie miałam czasu.

Alec skończył swojego cheeseburgera, a teraz starannie zwiijał opakowanie.

— To znaczy, że nie miałaś zbyt wielu...

— Do diabła, w czasie moich podróży spotykałam się z różnymi mężczyznami. Jak by nie było, mam już dwadzieścia osiem lat. Poza tym żyjemy w latach dziewięćdziesiątych, a nie pięćdziesiątych. Kobiety nie potrzebują przyzwoitek, zgody starszych braci czy ich przyjaciół.

— Z jakimi mężczyznami się spotykałaś? — spytał Alec tonem przyzwoitki.

Elizabeth umoczyła frytkę w ketchupie.

— Z jakimi mężczyznami? — powtórzyła, zastanawiając się przez chwilę. — Ze wszystkimi. We Włoszech był to pewien hrabia, we Francji — kierowca rajdowy, w Kanadzie — zawodowy gracz w piłkę nożną, a w Nowym Jorku — aktor.

— I żaden nie zdobył twojego serca?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Hrabia był nudny, kierowca — nieobliczalny, sportowiec zachowywał się jak macho, a ten aktor był zbyt zapatrzony w siebie.

— Przyszło ci kiedyś do głowy, że może trudno cię zadowolić?

— Daj spokój. Lepiej wyjdźmy na pokład.

— A nie zmarzniesz?

Kiedy pokręciła głową, pomógł jej włożyć płaszcz i sprzątnął tackę ze stołu.

— A ty? Dlaczego się nie ożeniłeś? — zapytała nagle, gdy już stali przy burcie, słuchając chlupotu wody i wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

— Żadna nigdy mnie o to nie poprosiła — odparł zaskoczony. — I chyba, tak jak ciebie, trudno mnie zadowolić. — Bezwiednie objął ją ramieniem.

— Chciałabym mieć tyle szczęścia, co moi rodzice — westchnęła, przytulając się do niego.

— A kto by nie chciał? — odparł. Niestety, szczęśliwe małżeństwa, takie jak Bonettich, należą do rzadkości. Alec nawet obawiał się pragnąć czegoś takiego.

— Wiesz, to przez ciebie jeszcze nie wyszłam za mąż.

— Co?!

— Wszystkich, z którymi się spotykam, porównuję z tobą i zawsze czegoś im brakuje. Ty byłeś zawsze moim ideałem i żaden ci nie dorównuje. Zawsze się o mnie troszczyłeś, broniłeś mnie...

— Co ty wygadujesz?

— Próbuję ci wyjaśnić, że odpowiedziałam na twoje ogłoszenie, żeby wreszcie móc o tobie zapomnieć. Tylko wtedy będę mogła zacząć własne życie. Mam już dobrze prosperującą firmę i jestem gotowa na poważny związek.

— No i?

— Cóż, twój pomysł z kolacją w „McDonaldzie” zupełnie zwalił mnie z nóg. — Roześmiała się, rozładowując trochę napięcie panujące między nimi. Alec odpowiedział jej uśmiechem. W tej dorosłej kobiecie dostrzegł znowu małą dziewczynkę, którą pamiętał z młodości. Jasnoczerwona szminka Elizabeth zniknęła w czasie posiłku, pozostając jedynie

provokującym wspomnieniem. Chociaż jej lekko zaróżowione usta mimo wszystko wyglądały bardzo obiecująco.

Nie powinien o tym myśleć.

— No dobra, pomyślmy, co mogę zrobić, żeby cię rozczarować jeszcze bardziej — powiedział, starając się wprowadzić do ich rozmowy odrobinę żartu. Sięgnął ręką chcąc odgarnąć kosmyk włosów z jej twarzy.

Elizabeth odruchowo chciała zrobić to samo. Ich dłonie się spotkały. Napięcie, które na pewien czas udało im się stłumić, wróciło z dziesięciokrotnie większą siłą.

Alec uniósł jej dłoń do ust i złożył na niej delikatny pocałunek.

Nie powinienem był tego robić... tak samo, jak i tego... — powiedział i przytulił ją mocno do siebie, a jego usta zaczęły się zbliżać do jej warg. Nagle zatrzymał się, potrząsnął głową i rozluźnił uścisk. — Powinniśmy przejść do następnego punktu programu — odezwał się, próbując nie dostrzegać żalu w jej oczach.

— Myślałam, że właśnie to robimy. — Elizabeth spojrzała na niego zdezorientowana. — Nie pocałujesz mnie?

— Nie. Zgodnie z planem po kolacji na statku mieliśmy pojechać na szczyt Gateway Arch.

— Ale przecież ja od lat mieszkam w St. Louis. Przeżyłam tu całe życie. Już tam byłam.

— W nocy?

— No... nie.

— A ja tak. Byliśmy tu kiedyś z drużyną, ale odwołali nasz drugi mecz, więc przyjechałem tutaj. Możesz mi wierzyć, miasto nocą wygiąda bardzo romantycznie.

— W takim razie zgoda. Powiedz mi jeszcze, dlaczego nie chcesz mnie pocałować? Boisz się mnie?

— Tak.

— Jesteś pewien, że mnie, a nie Gia?

— Boję się ciebie... i Gia... i samego siebie... — Ostatnie słowa wymówił prawie bezgłośnie, po czym wziął ją za rękę. — Chodźmy.

— Najpierw mnie pocałuj. — Zamknęła oczy i uniosła wyczekująco głowę.

Woląc to niż kłótnię, Alec szybko pocałował ją w usta.

— Chodźmy już...

— To nie był prawdziwy pocałunek.

— Elizabeth...

— Nigdzie nie pójde, dopóki mnie nie pocałujesz.

Wiedział, że mówi poważnie.

— Do diabła, Elizabeth — mruknął sfrustrowany, widząc jej upór. Zbyt dobrze znał ten wyraz jej oczu. Mężczyzna, który się z nią ożeni, będzie miał ciężkie życie.

Lecz zwycięski uśmiech Elizabeth nie trwał długo. Alec, nie spełniając jej życzenia, zarzucił ją sobie na ramię.

— Alec, co ty wyprawiasz? Puść mnie w tej chwili! — syknęła. — Ludzie na nas patrzą.

Zignorował jednak jej prośby. Zniósł ją ze statku, dziękując w duchu, że nie zaczęła krzyczeć czy wierzgać nogami. Kiedy dotarli na brzeg, postawił ją na ziemi i pomógł wsiąść do limuzyny.

Gdy znaleźli się w środku, polecił kierowcy zawieźć ich do Gateway Arch. Siedział w kącie i patrzył na Elizabeth tak, jakby miała go za chwilę ugryźć. Z niepokojem obserwował, jak coraz bardziej się do niego przysuwała. Kiedy znalazła się już niebezpiecznie blisko, zastukał w szybę oddzielającą ich od szofera.

— Poproszę pudełko — zaordynował.

Po chwili białe pudełko z kwiaciarni, przewiązane czerwoną wstążką, leżało już na siedzeniu między nimi.

— To dla mnie? — zapytała Elizabeth.

— Miały być dla Libby, czyli dla ciebie...

Kiedy zatrzymali się na parkingu i kierowca wysiadł z samochodu, żeby otworzyć im drzwi, odpakowała prezent i aż krzyknęła z zachwytu na widok dwunastu czerwonych róż. Uparła się, że zabierze je ze sobą.

Alec wziął ją pod ramię, a ona na przemian wachała kwiaty i trajkotała o tym, jaki to on jest romantyczny. Limuzyna, kolacja w restauracji na „Robercie E. Lee” — gdyby była czynna, teraz róże...

— A niech to! Zamknięte — odezwał się Alec, gdy dotarli do wejścia.

— Nic nie szkodzi — zapewniła go.

— Tu jest napisane, że zamykają zawsze o szóstej. A jak graliśmy z Cardinals, przyjechałem tu o dziewiątej...

— Kiedy to było?

— W lipcu.



— Do maja zawsze zamykają o szóstej. Powinnam była o tym pamiętać.

— To co zrobimy?

— A co zaplanowałeś?

— Myślałem, że długa romantyczna kolacja i wycieczka na Gateway Arch wypełnią nam cały wieczór. Nie przewidziałem, że zjemy ją w „McDonaldzie”, a stąd odejdziemy z kwitkiem.

Nie zamierzał mówić jej, co naprawdę zaplanował dla Libby. Nie potrzebowała tego rodzaju zachęty. Musi zrealizować „Plan B” — ten, który zakłada, że zdoła przeżyć, nawet jeśli Gio dowie się o ich randce.

Kiedy wrócili do samochodu, poprosił kierowcę o krótką przejażdżkę po okolicy, żeby w tym czasie mogli zdecydować, dokąd chcą jechać.

— Mam ochotę na deser — obwieściła Elizabeth, gdy tylko ruszyli.

— Deser?

— Deser. — Skinęła potakująco głową.

Niezły pomysł, pomyślał Alec. Znacznie lepszy niż dansing. Mogłaby nalegać na wolny taniec, a to skończyłoby się całkowitą klęską. A na deser zawsze można

się zgodzić.

— Nie ma sprawy. Co powiesz na „Crown Candy Kitchen”? Podają tam świetne lody z owocami i koktajle czekoladowo—bananowe.

— Tam nie chcę.

— To może do „Tippin’s” na kawę i ciastka? Powiedzmy, na francuską szarlotkę z kruszonką albo bitą śmietaną...

— Na to też nie mam ochoty.

— Chcesz zjeść deser czy chcesz mnie zameńczyć? — zapytał sfrustrowany.

— Jedno i drugie — odparła z uśmiechem.

Mruknął pod nosem coś niecenzuralnego. Wreszcie przypomniało mu się, co Gio mówił o ulubionych lokalach Elizabeth.

— Już wiem. Możemy pojechać do „Cafe Zob” na tiramisu.

— E, tam.

— To może mus czekoladowy?

— Nie.

— Może byś mi coś podpowiedziała...

— Najlepsze byłyby ciasteczka z orzechami, z lodami waniliowymi i gorącą polewą. Nie wiesz przypadkiem, gdzie moglibyśmy to dostać?

Jasne, że wiedział. U niego w domu.

„Tylko skąd, u diabła, ona...?”

— A może by tak do „Cyrano's”...? — zaproponował pełen nadziei.

— Myślałam raczej o twoim mieszkaniu — wyznała Elizabeth, dokładnie, jak się tego obawiał. — Słyszałam waszą rozmowę w naszej kuchni.

— Więc wiesz...

— Że deser ma być grą wstępną? Tak, wiem. I mam zamiar dopilnować, żebyś się trzymał programu.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Elizabeth jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś tak wolno jadł takie pyszności. Ona pochłonięła deser w ciągu kilku sekund, on zaś się nad swoim męczył i męczył.

Przyjrzała mu się uważnie. Bardzo przystojny, choć trochę zakłopotany, siedział naprzeciwko niej w tym swoim smokingu. Posiadał wszystkie cechy, które najbardziej pociągały ją w mężczyznach — urok, uprzejmość i poczucie humoru. Poza tym budził zaufanie. A jednak, mogąc przebierać w kobietach podobnie jak Gio, był zepsuty.

Problem w tym, że ona na swój sposób też była zepsuta. I to właśnie przez niego. To on zawsze jej ulegał, to on sprawił, że zawsze szukała wrażliwego mężczyzny.

Wiedziała doskonale, że Alec by się obraził, gdyby nazwać go wrażliwym. Tej cechy obawiał się w sobie najbardziej — cechy, którą przed wszystkimi udało mu się ukryć. Przed wszystkimi z wyjątkiem Elizabeth. Nią nie musiał się przejmować, bo przecież była dzieckiem.

Najwyższy czas, żeby zaczął, postanowiła patrząc, jak leniwie zlizuje z łyżeczki resztki polewy czekoladowej.

— Wiesz, na co mam teraz ochotę? — spytała, kiedy na nią spojrział.

— Chcesz pojechać do domu? — zasugerował z nadzieją w głosie.

Potrząsnęła głową.

— Chcę zatańczyć.

— Naprawdę?

— Coś wolnego.

Czy naprawdę słyszała, jak Alec ze strachu przelyka ślinę, czy tylko jej się tak wydawało? Doskonale zdawała sobie sprawę, że w każdej innej sytuacji byłby szczęśliwy, gdyby jakaś kobieta próbowała go uwieść. Tym razem, niestety, miała pecha — on zresztą też — bo była siostrą Gia Bonetiego.

Ale dopóki Gio o niczym nie wie, nikomu nic nie grozi.

Wstała ze stołka i zaczęła szukać płyty. Była pewna, że Alec ma coś nastrojowego. Nie umknęły jej uwagi świece, które przygotował. Jak również fakt, że ich nie zapalił.

— Robi się późno — zaproponował.

Elizabeth odwróciła się w jego stronę.

— Jeszcze nie ma dziesiątej.

— Muszę wypocząć przed treningiem.

— To dopiero szesnastego. A dzisiaj są Walentynki — czternastego lutego. Po dzisiejszej nocy będziesz miał jeszcze dwadzieścia cztery godziny na odpoczynek. Poza tym, jeśli zostanę dziś na noc, będziesz miał za sobą pewną rozgrzewkę...

— Elizabeth!

— Och, daj spokój — powiedziała, dostrzegając płytę kompaktową, którą naszykował. — Harry Connick Junior? Czy specjalnie kupiłeś ją na dzisiejszy wieczór

Nacisnęła przycisk i z głośników popłynęły pierwsze takty „My Funny Valentine”

— Alec, wstyd byłoby popsuć taki nastrój. No chodź, zatańcz ze mną... Tylko jeden taniec. Co ci szkodzi? — nalegała, zdejmując mu muszkę z szyi.

Mruknął coś zdesperowany, po czym już sam, z własnej woli, rozpiął górny guzik koszuli.

— Ale tylko jeden.

— Tylko jeden — powtórzyła, wtulając się w niego opierając głowę na jego szerokich ramionach. Dobrze tańczył. Prowadził pewnie, choć cały czas trzymał ją lekko na dystans.

— Przecież nie musisz się mnie bać. Poprosiłam cię tylko o taniec, a nie o to, żebyś się ze mną ożenił.

— Żebym się z tobą ożenił?

Wreszcie udało jej się przykuć czymś jego uwagę. Skinęła głową a on obrzucił ją bacznym spojrzeniem.

Już sobie wyobrażam, jak wyglądałoby małżeństwo z tobą, Elizabeth.

— Naprawdę? A jak by wyglądało?

— Trwałoby wiecznie. Nigdy nie pozwoliłabyś mi odejść.

— Owszem. Rozumujesz poprawnie.

— Należysz do kobiet, które cały czas muszą zajmować najważniejsze miejsce w życiu mężczyzny.

— A co w tym złego?

— Nic. To po prostu oznacza, że potrzebujesz kogoś, kto gotów jest się ustatkować.

— Na co ty jeszcze nie masz ochoty, tak? Zamierzasz z tym czekać do emerytury?

Nie odpowiedział.

Znowu oparła mu głowę na ramieniu. Wiedziała, że Alec boi się małżeństwa. Boi się powtórzyć los ojca. Ale wiedziała również, że kariera sportowa młodszego McCorda wkrótce się skończy, a z mą ogólny podziw, jaki wzbudza u kobiet.

Nie było dla niej tajemnicą że Alec pragnie domu i rodziny takiej, w jakiej wychowywała się ona i Gio. Teraz, mając już dobrze prosperującą firmę, była gotowa na ten sam zwrot w swoim życiu. Różnica między nimi polegała jednak na tym, że ona pragnęła znaleźć miłość i prawdziwe szczęście, a Alec bał się dać kobiecie tyle władzy nad sobą żeby była w stanie go zranić.

Nie tylko musi go przekonać, że jest już kobietą, ale i że jest kobietą jakiej potrzebuje.

I musi tego dokonać w ciągu jednej nocy.

Piosenka skończyła się i Alec romantycznie przechylił Elizabeth do tyłu. Nastąpiło to tak nieoczekiwanie, że straciła równowagę i w efekcie oboje wylądowali na dywanie.

Alec uśmiechnął się kwaśno.

— No, ten taniec naprawdę się skończył. Czas wracać do domu.

Wyraźnie zamierzał pokrzyżować jej uwodzicielskie plany, ale czyż w jego grymasie nie dostrzegła odrobiny słabości?

— Nie wydaje mi się — zaoponowała, wykorzystując swą uprzywilejowaną pozycję. Kiedy upadli razem na podłogę, ona znalazła się na górze.  
— Dlaczego się upierasz, żeby mnie tak wcześnie odesłać do domu? Czyżbyś o północy zamieniał się w wilkołaka?

— Jeśli nadal będziesz się tak na mnie wiercić, to zaraz zobaczysz, w co się zamieniam — ostrzegł. — To są zabawy dla dorosłych, Elizabeth. A ty już nie jesteś dzieckiem.

— Nareszcie się zgadzamy — oznajmiła, widząc, jak Alec ze wszystkich sił stara się nie patrzeć na jej piersi, które w każdej chwili groziły wysunięciem się przez dekolt sukienki. — Wiesz co? Zawrzyjmy umowę.

— Jaką umowę? — spytał ostrożnie.

— Jeden pocałunek. Jeden pocałunek i wyjdę bez żadnych dyskusji. Alec spojrzał na nią z wyraźnym niedowierzaniem.

— Obiecuję.

— Obiecujesz? — zapytał sceptycznie.

— Dotrzymałam słowa. Nie nalegałam na kolejny taniec, prawda? — Pochyliła się do przodu i zaczęła pokrywać jego wargi delikatnymi pocałunkami, aż wreszcie dostała odpowiedź, której pragnęła.

Pożądanie w jego oczach sprawiło, że poczuła zawrót głowy. A przecież nie tak to planowała.

To on miał być jej posłuszny, a nie na odwrót. W mgnieniu oka straciła kontrolę nad sytuacją. Nadał była górą, ale to on teraz prowadził. A taniec, który tańczyli, był stary jak świat.

Teraz wodził palcem po jej ustach i patrzył na nią z podziwem. Może i przegrała bitwę, ale ma szansę wygrać wojnę.

— Zróbmy to jeszcze raz — poprosiła.

— Wydawało mi się, że po jednym pocałunku miałaś wyjść bez żadnych dyskusji.

— Chcesz, żebym wyszła?



— Nie, ale tak chyba byłoby najlepiej.

— Pozwól mi zostać, proszę.

— Nie zrobię tego, Elizabeth.

W porządku. Leż, sama to zrobię.

— Na Boga, z jakimi mężczyznami ty się spotykałaś? Czy Olo wie, że...  
jesteś... potrafisz być....

— Taka namiętna? — dokończyła nonszalancko. Elizabeth!

— Dla ciebie: Libby, pamiętaj — poprawiła go z uśmiechem. — A odpowiadając poważnie na twoje pytanie: Umawiałam się z płytkimi mężczyznami. Wiesz, takimi, którym chodzi tylko o jedno.

— Czyli takimi jak ja.

— Nie, oni mnie pragnęli, w przeciwieństwie do ciebie.

— Och, bardzo cię pragnę. Mógłbym dowieść tego na wiele sposobów, jeśli masz jakieś wątpliwości.

— Więc pozwól mi się z tobą kochać. Ale tylko raz — skapitulował.

— Obiecuję — zgodziła się natychmiast.

Alec chwilę zastanawiał się nad jej słowami, wyraźnie walcząc z pokusą, potem jednak pokręcił głową.

— Nie. To nie jest najlepszy pomysł.

— Dlaczego?

— Bo nic z tego nie wyjdzie. Ze mną jest jak z chipsami. Kiedy już zacznę się kochać...

— Zaryzykuję — powiedziała, śmiejąc się w duchu z jego komicznych przechwałek, które, jak podejrzewała, wcale nie są przechwałkami.

— W każdym razie ostrzegam cię — powiedział, wkładając ręce w jej gęste włosy. Jego usta rozchyliły się, a oczy zalśniły z rozkośzy.

Elizabeth czuła jego oddech i smak czekolady na ustach, kiedy przyciągnął ją do siebie, zaczynając całą grę od nowa, tym razem już na poważnie.

Nie potrafiła mu się oprzeć.

Mógł doprowadzić ją do szaleństwa.

I doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Nadszedł czas, by zetrzeć z jego twarzy ten wyraz zadowolenia. Uwolniła się z jego objęć i usiadła na nim. Świadoma jego spojrzenia, przeciągnęła po dekolcie pomalowanymi na czerwono paznokciami, patrząc na niego prowokacyjnie.

Nie odezwał się. Czekał.

Rozpięła maleńki zatrzask swojego aksamitnego stanika, odsłaniając piersi.

— Tak się zastanawiałem... — zaczął.

— Czy są prawdziwe?

— Och, nie. To mógłbym przysiąc. Zastanawiałem się, jak to będzie, kiedy...

Wyciągnął ręce, Elizabeth zaś cicho jęknęła i otarła się o niego udami. Zaczerwieniła się, czując, że jest obserwowana w czasie, gdy jej ciało reaguje gwałtownie na jego pieszczoty. Przesunęła ręką między sobą a Alekiem i zaczęła rozpinać suwak jego spodni.

— To śmieszne — mruknął, kiedy wreszcie udało mu się złapać oddech.

— Wspaniałe — sprzeciwiła się.

— Ale, Elizabeth, mam takie wygodne łóżko...

— Nie chcę czekać. Teraz, proszę — błagała, sięgając ręką do tyłu i rozpinając suknię. W mgnieniu oka ściągnęła ją przez głowę i rzuciła na podłogę.

Alec nadal miał na sobie smoking, podczas gdy ją okrywały jedynie czarne jedwabne pończochy, koronkowe podwiązki i figi. Czerń kontrastująca z jej bladą skórą sprawiła, że Elizabeth poczuła się przebiegła i wyrafinowana.

— Skoro tak, to czy mogę odmówić? — zapytał po dłuższej chwili i podniósł się leniwie, żeby pocałować jej pępek.

— Przestań — zachichotała, odsuwając go od siebie.

— Ach, co za uparta kobieta. Znam wiele sposobów, żeby zmusić cię do posłuszeństwa — zauważył, pochylając ją nad sobą.

— Dotarły do mnie te plotki... Czekam...

— Dobre rzeczy przytrafiają się tym, którzy czekają.

— Mnie nie interesują rzeczy zaledwie dobre — drażniła się z nim, patrząc, jak zdejmuje z siebie smoking i rzuca go obok jej sukni.

— Co ty chcesz zrobić, mała flirciario? Przyprawić mnie o tremę?

— Ty, który grasz przed tysiącami widzów, denerwujesz się w obecności jednej osoby? Trudno mi w to uwierzyć.

Alec zdjął koszulę i rzucił ją na stertę ubrań.

— Nie mówimy o baseballu. Teraz występuję przed kimś, kto chce, żeby mi się nie udało. Prawda?

Elizabeth skinęła głową niechętnie przyznając mu rację. Chciała, żeby poniósł klęskę. Chciała, żeby me okazał się aż tak wspaniały, żeby oboje nie okazali się aż tak wspaniali, jak, w głębi serca wiedziała, byliby razem.

— No to przygotuj się na rozczarowanie — zapowiedział, zdejmując buty, skarpetki i spodnie.

Zanosi się na mały cud, pomyślała Elizabeth, pieszcząc wzrokiem każdy centymetr jego ciała.

— I to nie na takie rozczarowanie, o jakim marzysz. Przygotuj się, bo będę najlepszym chłopem w twoim życiu — przechwalał się, podchodząc do magnetofonu, gdzie przez chwilę przeglądał kasety, aż wreszcie znalazł tę, której szukał. Wrócił do Elizabeth i wyciągnął do niej rękę dokładnie w chwili, gdy piosenkarz pytał: „Czy ten taniec może trwać do końca naszego życia?”

Podawała mu rękę, pozwoliła mu się podnieść, przytulić i poprowadzić w rytm romantycznej ballady. Nawet jeśli dotychczas uważała, że wolne tańce mają w sobie coś erotycznego, okazało się to niczym w porównaniu z tym tańcem.

Alec był niebezpieczny, a jednak w jego ramionach czuła się bezpieczna. Bezpieczna w taki sposób, w jaki mogła się czuć jedynie należąc do kogoś. Bezpieczna wiedząc, że druga osoba chce dla niej jak najlepiej.

Tak bezpieczna, że aż nierozważna.

Całował ją, a ona mruzczała z zadowoleniem, co jeszcze bardziej go podniecało.

— Chyba nie dotańczymy do końca tej piosenki — szepnęła w pewnej chwili.

— Piosenki? A ktoś śpiewa? — zapytał, przesuwając rękę po jej biodrach, by zdjąć podwiązki podtrzymujące jedwabne pończochy. Elizabeth wstrzymała oddech.

Żadne z nich nie słyszało już muzyki. Alec oparł Elizabeth o ścianę, zarzucił jej nogi na swoje biodra i stało się to, o czym od dawna marzyła.

Oboje wolno osuwali się po ścianie. W pewnym momencie potknęli się i wylądowali na podłodze. Byli zgrzani, spoceni i uśmiechali się do siebie.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała Elizabeth.

— Bo... ja... ciebie...

— Tak, wiem. Chyba zawsze wiedziałam. Po prostu nie chciałam się do tego przyznać... A kiedy przygnębił mnie twój wyjazd do Los Angeles...

— Miałaś zaledwie siedemnaście lat, kiedy podpisałem kontrakt z Dodgersami. Byłaś jeszcze dzieckiem...

— Ale już nie...

Alec posadził ją sobie na kolanie i zaczął leniwie całować. Kiedy wreszcie skończył, uśmiechnął się.

— Nie, już nie..

— No, to jak przebiegła twoja randka walentynkowa?

— spytała wesoło.

— Masz na myśli kolację w „McDonaldzie” i miłość na stojąco?

Skinęła głową.

— No cóż, muszę przyznać, że nie było to dokładnie to, o czym marzyłem.

— Nie? — Bezskutecznie próbowała ukryć nutę rozczarowania w głosie.

— Było o niebo lepiej — odparł, a jej serce zabiło radośniej.

— Naprawdę?

— Tak, Libby. Zdaje się, że oboje mamy problem.

Przytuliła się do niego szczęśliwa.

— To fakt.

— Może porozmawialibyśmy o tym w łóżku? — zaproponował, po czym wstał, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Po raz pierwszy w życiu mu się nie sprzeciwiła.

Obudziło ją poranne słońce. Przeciągnęła się i uśmiechnęła. Jej misja się powiodła. Alec McCord spał koło niej głębokim snem. Nie pojedzie na żaden trening, dopóki nie porozmawiają.

O ostatniej nocy.

O ich przyszłości.

Nie tylko nie zdołała go wyrzucić ze swego życia, lecz wręcz przeciwnie — rozgościł się w nim na dobre. Należał do jej przyszłości tak samo, jak do przeszłości. Była pewna, że uda jej się go przekonać, że są sobie przeznaczeni. Kochając się z kimś, nie można ukryć swych prawdziwych uczuć, a on oddał jej się cały, niezależnie od tego, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie.

Teraz jednak Elizabeth była głodna. Na rozmowę zostanie mnóstwo czasu. Zresztą i tak lepiej się rozmawia po śniadaniu. Odsunęła kołdrę i w nogach łóżka znalazła swoje czarne pończochy. Podniosła je, zwinęła w kłębek i rzuciła na podłogę.

Wstała cicho, żeby nie obudzić Aleca, i podeszła do jego szafy. Znalazła parę dzinsów, podwinęła nogawki i przewiązała się w pasie. Wyglądała jak wielka torba papierowa. Do tego włożyła białą koszulkę, którą zawiązała na brzuchu. Tak ubrana ruszyła do kuchni na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

Zwykle grzanki czy płatki to za mało. Miała ochotę na uroczyste śniadanie. Myszkowała po szafkach i lodówce, aż wreszcie znalazła podstawowe rzeczy, jakich potrzebowała, by zrobić grzanki po francusku. Wiedziała, że cynamonu i wanilii w kawalerskiej kuchni na pewno nie uświadczą. Musiały jej więc wystarczyć jajka, mleko i jakieś włoskie pieczywo pokrojone w piastry dwucentymetrowej grubości.

Pokroiła znalezione banany i obłożyła nimi grzanki. Następnie przygotowała sok pomarańczowy. Po chwili po kuchni rozszedł się także smakowity zapach kawy.

Ponieważ nie znalazła syropu klonowego, wierzch każdej grzanki posmarowała masłem orzechowym i dżemem. Dopiero wtedy poszła obudzić Aleca na śniadanie.

I na ich małą pogawędkę.

Kiedy weszła do sypialni, był schowany pod kołdrą. Najwyższy czas, żeby wyszedł z kryjówki. Odsunęła kołdrę i pocałowała go w szyję. Mruknął coś w odpowiedzi. Połaskotała go w żebra.

— Czas wstawać, śpiochu.

— Elizabeth? Co ty wyprawiasz w środku nocy? — zapytał, otwierając jedno oko.

— Ładny mi środek nocy. Już prawie południe.

— Tak? — ziewnął, siadając. Zmrużył oczy na widok jasnego światła słonecznego zalewającego pokój. — Więc jednak... Chodź tu. — Wciągnął ją na łóżko. — Powiedz mi, że to nie sen, że naprawdę tu jesteś.

— Jestem tu — odparła, kiedy przytulił ją do siebie.

— Hm... jakie masz ładne ubranko... — To mówiąc, zaczął się mozolić z węzłem koszulki.

— Przygotowałam śniadanie. Grzanki po francusku, sok pomarańczowy i kawę. Wszystko wystygnie.

— To odgrzejemy.

Odwróciła wzrok. Nadal czuła się przy nim trochę skrepowana. Właśnie odkryła, że nawet osiągnąwszy to, do czego się dążyło, potrzeba czasu, żeby się z tym oswoić.

Zwłaszcza że nie bardzo wiedziała, czego Alec naprawdę chce. Och, zdawała sobie sprawę, czego chce w tej chwili. Tego samego, czego i ona pragnęła — poczuć znowu tę niesamowitą jedność.

Chwytał ją za brodę i zmusił, żeby spojrzała na niego.

— Chyba nie żałujesz ostatniej nocy? Nie zniósłbym, gdyby tak było.

— Nie, nie żałuję. Ta noc była...

— Pozwól, że ci przypomnę, czym była ta noc — rzekł, ściągając jej koszulkę przez głowę. — Nie wstydź się mnie — szepnął, wodząc palcem po jej skórze. — Nic się nie zmieniło tylko dlatego, że nastał dzień. Wciąż jesteś piękna, Elizabeth. Ale czy nadal mnie pragniesz?

— Bardzo.



Włożył rękę w jej włosy, po czym przyciągnął ją do siebie. Całował ją tak długo i w taki sposób, że gdyby nagle zapytał, jak ma na imię, nie umiałaby odpowiedzieć.

Ona całowała go tak śmiało, jakby robili to od wieków. Potem delikatnie pchnął ją na łóżko. Roześmiał się niespodziewanie, zdejmując jej dzin-sy.

— Co się stało? — zapytała.

— To coś nowego: zdejmuję własne spodnie, chociaż wcale nie mam ich na sobie.

Uśmiechnęła się i uniosła lekko uda, pomagając mu się rozebrać.

— O, zdaje się, że oboje nosimy spodnie w ten sam sposób.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Bez bielizny pod spodem — wyjaśnił.

Był w radosnym nastroju. Zaczął palcem rysować coś na jej brzuchu, a ona miała odgadnąć, co to jest.

— To bardzo szczegółowy rysunek — powiedziała po chwili, starając się skoncentrować.

— Jestem wielkim artystą, ale nawet ja nie potrafię rysować na ruchomym materiale. Proszę, przestań się ruszać, bo cała moja praca pójdzie na marne — skarcił ją z udawanym oburzeniem. — Pani wcale nie zgaduje, co robię, madame. Może mam podać jakąś wskazówkę?

— Och, doskonale wiem, co robisz — odparła ze śmiechem, kiedy rysunek zajmował już coraz większą przestrzeń jej zaróżowionej skóry. Palce Aleca wędrowały coraz niżej.

— To ośmiornica — domyśliła się.

— A nie mówiłem, że jestem wielkim artystą? Zgadła pani, i to za pierwszym podejściem.

— Naprawdę?

Alec skinął głową i ku jej zmartwieniu zaprzestał swoich ekscytujących malowideł, chociaż miała ochotę na kolejne szczegóły.

— Teraz pani kolej, madame.

Przekonajmy się, czy jest pani równie utalentowaną artystką.

Elizabeth podjęła wyzwanie.

— Pracuję w trochę inny sposób, sir, ale jestem równie utalentowana co pan — stwierdziła zachwycona, bo właśnie pozwalał jej zobaczyć się od najwrażliwszej strony; zachowywał się przy niej zupełnie swobodnie.

— Widzę, że wykorzystuje pani farby wodne — mruknął, kiedy zamiast palców zaczęła używać ust.

— Ma pan coś przeciwko metodom mojej pracy, sir? Bo jeśli tak, to...

— Och, nie. Bardzo mi odpowiadają. Proszę nie przerywać.

Delikatnie przesunęła językiem po jego piersi. Usłyszała, jak westchnął. Posuwała się w dół, słysząc jego coraz cięższy oddech.

— Co mówisz? — spytała.

— No... że jesteś... cudowna.

Roześmiała się, a następnie powróciła do przerwanych pieszczot. A potem znowu świat zawirował w szaleństwie, którego nie byli w stanie powstrzymać. Tym razem jednak to Elizabeth panowała nad partnerem, a on poddał jej się bez sprzeciwu. Kiedy skończyli, leżał z zamkniętymi oczami, a jego skóra błyszczała od potu.

— Dziękuję — powiedział, kiedy w końcu otworzył oczy i spojrzał na leżącą obok kobietę. Przytulił ją do siebie i pokrył jej twarz delikatnymi pocałunkami.

— Wiesz co? — zaczął z uśmiechem, unosząc się na łokciu.

— Co?

— Jestem głodny. Weźmy prysznic, a potem odgrzejemy to twoje śniadanko.

— Zgoda. Chcesz iść pierwszy?

— Razem.

— Razem?

— Jasne. Nie jestem egoistą.

Pod prysznicem na nowo podjęli swą grę. Elizabeth namydliła Alecowi plecy i zaczęła rysować w pianie.

— Wielkie serce z naszymi inicjałami — zgadł od razu.

— I kto teraz jest romantyczny?

— Alec, odpowiesz mi na jedno pytanie?

— Na tysiąc.

— To poważna sprawa.

— Słucham.

— Czy ostatnia noc... Czy ostatnia noc spełniła twoje oczekiwania, jeśli chodzi o tę wymarzoną randkę?

— Nie.

— Och...

Odwrócił się i mocno przytulił ją do siebie.

— Ostatnia noc przerosła moje oczekiwania.

— Nie okłamałbyś mnie teraz, prawda?

— Oczywiście, że nie, Libby — odparł z uśmiechem.

Piętnaście minut później, ubrany w szlafrok, był już w kuchni i odgrzewał śniadanie, a ona z powrotem wkładała jego dzinsy i koszulkę.

Po chwili wsunął głowę do sypialni i obwieścił, że podano do stołu.

Elizabeth siedziała na brzegu łóżka i wpatrywała się w torbę z nadrukiem „Riyer City Cali” wypełnioną listami, którą znalazła w kącie sypialni.

— Co zamierzasz z tym zrobić? — zapytała, biorąc do ręki kilka z nich.

— Nic.

— Nic?

— Tak szczerze mówiąc, teraz zajmie się nimi Gio.

Elizabeth odetchnęła z ulgą.

— Nie wątpię.

Odstawiła torbę i ruszyła za Alekiem do kuchni. Siedzieli przy stole, dotykając się gołymi stopami, zlizując sobie dżem z palców, karmiąc się nawzajem i rozkoszując każdą chwilą spędzoną razem, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

— Alec, przyszedłem po listy — zawołał męski głos.

— Ile pańienek odpisało? Co? Elizabeth?

— Gio! — wykrzyknęli oboje w osłupieniu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Gio skamieniał, twarz mu poczerwieniała ze złości.

Elizabeth przerażona przyglądała się obu mężczyznom stojącym naprzeciwko siebie. To był najgorszy sposób, w jaki Gio mógł się dowiedzieć o ich randce. Potrzebowała czasu, żeby przygotować go na przyjęcie wiadomości, że jego najlepszy przyjaciel i siostrzyczka chodzą ze sobą. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że brat może tu wpaść? Po— winni byli pojechać gdzie indziej. To wszystko jej wina.

— Alec, co to wszystko ma znaczyć? — zapytał Gio, zbliżając się do kolegi. Ciało miał sztywne z wściekłości, pięści zaciśnięte.

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Tylko poczekaj. Spokojnie...

Elizabeth wiedziała jednak, że Gio go nie posłucha. Znała ten upór na twarzy brata.

— Gio, nie! — krzyknęła, próbując go powstrzymać przed zrobieniem czegoś, czego później mógłby żałować.

— Cicho, Elizabeth. To sprawa między nami. Ty się nie wtrącaj.

— Ale ty nic nie rozumiesz, Gio. To... to wszystko mój pomysł — starała się wytłumaczyć, mając nadzieję, że brat ochłonie i uda jej się z nim spokojnie porozmawiać. Gio był jednak porywczy.

— Szczerze wątpię. Nie bez powodu od siódmej klasy nazywano go „Amancikiem”. Alec potrafiłby namówić każdą gwiazdkę, żeby dla niego spadła z nieba.

— Naprawdę tak cię nazywali? — spytała Elizabeth, zastanawiając się, dlaczego wcześniej o tym nie słyszała.

Alec tylko wzruszył ramionami.

— Tak — odparł za niego Gio. — Tym razem jednak przeholował, Zaczekaj tak ci przerobię tę śliczną buźkę, że będą ci musieli zmienić przezwisko. Ale to już ci się nie będzie podobało tak, jak to poprzednie.

— Gio, posłuchaj swojej siostry, ona mówi prawdę. Wyciągasz pochopne wnioski — ostrzegł go Alec, wyciągając przed siebie dłonie w wyraźnie pokojowych zamiarach. Nie chciał dopuścić do bójki, do której przyjaciel najwyraźniej dążył.

Gio zatrzymał się, patrząc to na Elizabeth, to na Aleca.

— Wczoraj wieczorem byłaś inaczej ubrana.

Z poczuciem winy spojrzała na stos ubrań, nadal leżących na podłodze w salonie. Gio podążył za jej wzrokiem w stronę czerwono—czarnej sukni, leżącej obok smokingu Aleca. Wiedziała, że jeśli jej brat jeszcze żywił jakiegokolwiek wątpliwości na temat tego, co mogło między nimi zajść poprzedniej nocy, ten widok potwierdził jego najgorsze podejrzenia.

Gio odwrócił się wściekły do kolegi.

— Nie bądź idiotą, Gio — błagał Alec. — Jestem od ciebie silniejszy.

— Jesteś przede wszystkim cholernym sukinsynem! Nie mogę uwierzyć, że wykorzystales Elizabeth. Jak mogłeś?

— To nie tak... — Alec nadal próbował się tłumaczyć, ale było to jak rzucanie grochem o ścianę.

— Ona jest dla ciebie za dobra, nie rozumiesz? — wyrzucił z siebie Gio, po czym jego pięść wylądowała na szczęce Aleca, który wyciągnął się jak długi na podłodze.

— Ubieraj się, wychodzimy — polecił Gio, wskazując Elizabeth drzwi.  
— A ty się trzymaj z daleka od mojej siostry, jasne?

Alec nie odpowiedział. Nie podniósł się też z podłogi. Nie próbował walczyć o Elizabeth. Usiadł oparty o ścianę, masując obolałą szczękę.

— Nigdzie nie idę! — zaprotestowała ostro Elizabeth.

— Owszem. Wyjdiesz, nawet gdybym miał cię stąd wynieść.

Spojrzała na Aleca, oczekując jego wsparcia. Miała nadzieję, że poprosi ją by została.

Nie odezwał się ani słowem.

Wstrząśnięta jego zachowaniem, podniosła suknię wyszła z pokoju, żeby się przebrać i wyjść.

Nie dlatego, że tego chciała.

I nie dlatego, że Gio nie chciał, by tu została.

To Alec tego nie chciał.

Minęły dwa tygodnie, w czasie których Elizabeth i Gio prawie ze sobą nie rozmawiali. żadne z nich nie chciało mówić o tym, co zaszło. Oboje byli zażenowani i wściekli. Wściekli na siebie samych, na siebie nawzajem, ale przede wszystkim na Aleca.

A Alec po raz kolejny zabrał się i wyjechał, zostawiając Elizabeth samą. Tym razem zamiast do Los Angeles pojechał do St. Petersburga. Inne wybrzeże, ale równie wielka odległość i ból, jaki pozostał.

Tak, teraz była pewna — najgłupszą rzeczą, jaką w życiu zrobiła, było napisanie odpowiedzi na ogłoszenie „Bezsenne w St. Louis”.

Alec rzucał piłką jak amator.

Czasami gorzej — jak były amator.

Wyglądał niczym wrak człowieka, chodzący cień. Tak było od dwóch tygodni, od dnia, kiedy przyjechał do St. Petersburga. Niewiele jadł, nie spał po nocach.

Myślał jedynie o Elizabeth.

Nie powinien był dopuścić do tego, żeby Gio ją zabrał, ale wtedy przyszło mu do głowy, że może przyjaciel ma rację. Może on, Alec McCord, faktycznie nie dorasta Elizabeth do pięt.

Jego kariera sportowa już się kończyła. Nie wiedział, co mu przyniesie przyszłość. A co najgorsze, nie wyobrażał sobie tej przyszłości bez Elizabeth.

Gio nie mógł już patrzeć na udramę siostry. Nie mógł znieść myśli, że przyczynił się do jej bólu, nawet jeśli uważał, że postąpił słusznie. Nie podobało mu się, że zachowują się wobec siebie jak obcy ludzie.

Może uda się jakoś to wszystko naprawić?

A Elizabeth spędzała bezsenne noce.

Programy rozrywkowe w telewizji jej nie bawiły. Praca nie interesowała jej ani trochę. Wszelkie próby zapomnienia o tym, co stało się w Dniu Za-



kochanych, kończyły się niepowodzeniem. Jej serce wciąż bolało — z powodu gniewu brata, z powodu straty Aleca L.. wszelkich szans na przyszłość.

Alec spojrział na kalendarz wiszący w przebieralni.

11 marca.

Za miesiąc jego drużyna wraca do St. Louis na otwarcie sezonu.

Do St. Louis.

Do miasta, w którym mieszka Elizabeth. Naturalnie, teraz też mógłby się z nią zobaczyć. Wystarczyłoby wsiąść do samolotu, a potem spróbować jej wyjaśnić, dlaczego o nią nie walczył. Dlaczego nie prosił, żeby z nim została.

Czuł, że nie wyszedł w jej oczach na bohatera, ale wtedy wydawało mu się, że postępuje słusznie. Wtedy myślał, że to Gio ma rację, twierdząc, że Elizabeth jest dla niego za dobra. Teraz jednak wiedział, że Gio się mylił.

Alec pragnął dla tej kobiety wszystkiego, co najlepsze. Nikt nigdy nie będzie jej kochał bardziej od niego. Nikt lepiej się o nią nie zatroszczy. Tylko jak przekonać o tym ją i Gia?

Myślał o tym długo i kiedy stracił już prawie nadzieję, że jest to w ogóle możliwe, wreszcie wpadł na pewien pomysł.

Elizabeth spojrzała na kalendarz na biurku.

11 kwietnia.

Dziś wieczorem Cardinals grają pierwszy mecz otwierający sezon. Alec wróci do St. Louis.

Starła się o tym nie myśleć, pracując nad nową ofertą w swoim biurze podróży — miniwakacjami, czyli wyjazdami na jeden do trzech dni. Wyszukiwała najkorzystniejsze propozycje małych hoteli, które śniadanie wliczały od razu w cenę noclegu.

Zniżki weekendowe często dochodziły do trzydziestu procent. Dotychczas udało jej się załatwić niewielki, uroczy hotel w Dallas, hotel w Newport Beach nad samym brzegiem oceanu, gdzie oferowano wszystko — od windsurfingu po wykwintną kuchnię, oraz kilka odnowionych domków letniskowych w dzielnicy francuskiej w Nowym Orleanie.

Biznesmeni, którzy często bywają w tych miastach, mogliby sobie pod koniec podróży służbowej urządzić miniwakacje. Elizabeth starła się zamówić miejsca w hotelach w innych popularnych centrach handlowych, takich jak Boston, Nowy Jork czy Miami.

Przypomniał jej się utrzymany w europejskim stylu hotel w Miami, w którym była niedawno, i postanowiła do niego zadzwonić. Była pewna, że stylowe wyposażenie hotelu i pobliskie sklepy przypadną do gustu niektórym jej klientom. Co bardziej spragnieni przygód będą się mogli wybrać do dzielnicy art deco w South Beach.

Kiedy spojrzała na zegarek, minęła już piąta.

Mecz zaczynał się o wpół do ósmej.

To dawało jej dwie i pół godziny na dotarcie do domu, przebranie się i dojechanie na stadion,

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej bilet, który dostała od Gia w geście pojednania. Był sklejonny taśmą przezroczystą, bo w pierwszym odruchu go podarła i zamierzała wyrzucić.

Ale skoro brat w ten sposób się przyznawał, że być może nie miał racji, doszła do wniosku, że chyba też powinna pójść na jakieś ustępstwo.

Gio przeprosił ją za to, że w ów feralny dzień przed dwoma miesiącami nie zdołał się opanować, i zaproponował, żeby oboje dali Alecowi jeszcze jedną szansę.

Elizabeth musiała przyznać, że brat miał powody do zdenerwowania, w końcu się więc pogodzili i wszystko wróciło do normy. Znowu ze sobą rozmawiali i jak dawniej podkradali sobie jedzenie z lodówki.

Nie była jednak pewna, czy mecz to taki dobry pomysł. Oczywiście, będzie mogła zobaczyć, jak Alec gra. Właściwie powiedziała sobie, że nie chce się z nim widzieć, ale wykazywała przy tym tyle siły woli co nastolatki, który właśnie dostał kartę kredytową.

Nawet nie miała wtedy okazji porozmawiać z Alekiem, bo niespodziewanie pojawił się Gio i ją „uratował”. Tylko czy tak naprawdę to nie uratował Aleca? Właściwie to ona nalegała, żeby Alec się z nią kochał. Żadne „właściwie”. To był wyłącznie jej pomysł. Złamała jego opór, a on dał jej to, czego tak bardzo chciała. Wydawało jej się, że razem odnaleźli coś szczególnego. A jeśli on wcale tego tak nie odbierał?

Musiała się przekonać.

Od tego trzeba zacząć. Musi poznać prawdę. Musi założyć, że tamtej nocy Alec czuł się tak samo dobrze z nią, jak ona z nim, i że teraz jest zbyt dumny albo zbyt się boi, żeby do niej przyjechać.

I tak jak tamtej nocy zrozumiała, co naprawdę do niego czuje, tak przy tym spotkaniu okaże się, co naprawdę ich łączy.

Nie chciała stać się obrazem dumy i nieporozumienia. Podjąwszy decyzję, schowała bilet do torebki. Powinna pojechać na ten mecz. Po raz ostatni to ona pojedzie do Aleca.

Jej miejsce — kiedy już je odnalazła na zatłoczonym stadionie — znajdowało się właściwie na boisku. Gio musiał wydać fortunę na ten bilet.

— Orzeszki, świeże orzeszki! — krzyknął sprzedawca, stając w przejściu między rzędami. Natychmiast zrobiło się spore zamieszanie. Kibice przekazywali sobie pieniądze, a mężczyźni odrzucał im torebki orzeszków z taką dokładnością, że jako rozgrywający sam jeden mógłby wygrać cały mecz.

Kiedy Elizabeth chowała resztę do portmonetki, jej wzrok padł na wytartą kartę baseballow z której spoglądała na nią uśmiechnięta twarz Aleca. Nosila tę kartę przy sobie od lat. Nie mogła się jej pozbyć, tak samo jak nie mogła przestać o nim myśleć.

Po przemówieniach tłum zaczął bić brawo i na boisku pojawili się zawodnicy Cardinals. Przeciwno sobie mieli swoich największych rywali — Chicago Cubs. Elizabeth skupiła uwagę na jednym graczu — tym, który jako pierwszy miał rzucić piłkę.

Alec podszedł na swoje stanowisko i zaczął rozgrzewkę. W tym momencie Elizabeth pożałowała, że nie wzięła ze sobą lornetki.

Najlepszy zawodnik Cubs stanął naprzeciwko niego i zamachnął się kijem, rozluźniając mięśnie ramienia. Elizabeth zaczęła się denerwować. Chciała, żeby Alecowi się udało.

I tak było. Pierwsza piłka poleciała za linię. Za nią druga i trzecia. Kibice zerwali się z miejsc, krzycząc z radości. Elizabeth zastanawiała się, czy Alec czuje jej spojrzenie. Nawet jeśli tak, ani razu nie odwrócił głowy w jej stronę.

Nastąpiła zmiana. Trzej zawodnicy Cardinals zdołali zaliczyć wszystkie bazy. Po kilku minutach Alec wrócił na swoje stanowisko.

Wybił kolejne trzy piłki — znowu celnie. Cały stadion wrzał. Elizabeth powoli zaczęła się odprężyć. Alec był w doskonałej formie i nie było powodu, by się martwić jego grą.

Siedziała niedaleko, nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób mogłaby zwrócić na siebie jego uwagę. Zdaje się, że będzie musiała poczekać do końca meczu, aż on ją zauważy. Nie będzie to takie trudne. Miała na sobie bawełniany, jasnoczerwony sweter i białe spodnie. Ubrała się na czerwono nie tylko dlatego, że takie były barwy Cardinalsów z St. Louis.

Lecz Alec nawet na nią nie spojrzał.

Po każdej rundzie opuszczał boisko, nie patrząc na kibiców. Po każdej rundzie tłum zachowywał się coraz ciszej.

Skończyła się siódma runda, na elektronicznej tablicy pojawił się wynik: Cubs — 0, Cardinals — 1. Jak dotąd przeciwnikowi nie udało się odbić żadnej piłki rzuconej przez Aleca.

Korzystając z przerwy, Elizabeth postanowiła coś zjeść. Wspięła się więc po stromych schodach w stronę budki z bot—dogami i wodą mineralną. Miło było wyprostować nogi i trochę się odprężyć.

Kolejka do damskiej toalety jak zwykle przypominała koszmar, więc zanim Elizabeth dotarła z powrotem na swoje miejsce, większość kibiców

wróciła już na ławki. Przerwa się skończyła. Zawodnicy wprawdzie nie pojawili się na boisku, ale wśród zebranych narastało poruszenie. Początkowo nie zwróciła na to uwagi, bo cały czas myślała o tym, co wydarzyło się, gdy stała przy budce z hot—dogami.

Odniosła wrażenie, że kątem oka dostrzegła Gia.

Kiedy odwróciła się po zapłaceniu rachunku, brat zniknął. Jeśli w ogóle tam był. Na pewno by jej powiedział, gdyby zamierzał pojawić się na meczu, no, chyba że po porwaniu się na jej drogi bilet zostało mu tylko kilka dolarów i mógł jedynie marzyć o znalezieniu się na stadionie.

Cardinals zajęli swoje stanowiska, gotowi zacząć ósmą rundę. Jednak poruszenie wśród widzów narastało. Wszyscy patrzyli w jednym kierunku. To samo zrobiła Elizabeth.

Przeczytała tekst wyświetlony na tablicy i omal nie zemdląła z radości.

Zasłoniła usta ręką, żeby ukryć zaskoczenie, i łzy popłynęły jej po twarzy. Odwróciła głowę w stronę boiska.

Alec patrzył wprost na nią.

Nie bardzo dowierzając temu, co przed chwilą przeczytała, znowu spojrziała na tablicę.

*„Elizabeth Bonetti!*

*Czy nie sądzisz, że dwadzieścia jeden lat narzeczeństwa to dosyć? Przy wszystkich świadkach obiecaj, że za mnie wyjdiesz.*

*Kocham Cię. Alec McCord”*

Elizabeth spojrzała na stanowisko miotacza. Alec klęczał na jednym kolanie. Czekał, patrząc prosto na nią. Tak jak wszyscy.

Rozpłakała się. Była pewna, że jej twarz zrobiła się równie czerwona co sweter.

Zacząła kiwać potakująco głową i wtedy rozległy się entuzjastyczne oklaski.

Alec wstał uśmiechnięty. Podniósł oba kciuki do góry na znak, że rozumiał jej odpowiedź.

Wtedy już Elizabeth była pewna, że widziała Gia. Nie mogło go zabraknąć tego szczególnego wieczoru.

Gra się rozpoczęła, lecz jej zapłakane oczy prawie nie dostrzegały Aleca. Z przejścia ktoś zawołał jej imię, a kiedy spojrzała w bok, zobaczyła brata. Skinął ręką, żeby do niego podeszła.

Wyślizgnęli się cicho, a uwaga kibiców z powrotem skoncentrowała się na grze. Niestety, przedzierając się w stronę ławek rezerwowych, usłyszeli odgłos kija uderzającego w piłkę rzuconą przez Aleca i następujący po nim jęk zebranych. Piłka poszybowała daleko.

— Och, nie. Tym razem mu się nie udało — jęknęła Elizabeth.

— Nie szkodzi. Jestem pewien, że dzisiaj już i tak osiągnął to, czego najbardziej pragnął. Elizabeth znowu się rozpłakała.

— Poczekaj. — Zatrzymała go, kiedy przechodzili koło damskiej toalety. — Zaraz wrócę. Umyję tylko twarz zimną wodą.

Gio skracał sobie czas oczekiwania na nią, flirtując z kelnerką. Zanim Elizabeth poprawiła makijaż, zdążył już się umówić na najbliższą sobotę.

— Od dawna wiedziałeś? Tylko nie próbuj mi wmówić, że nie miałeś o niczym pojęcia. Za dobrze cię znam.

Gio początkowo próbował udawać niewiniątka, szybko tego zaniechał.

— Nie mogłem już patrzeć na twoją rozpacz. Nagła myśl przemknęła przez głowę Elizabeth. Spojrzała na niego przerażona.

— Gio, chyba nie..

— Nie. Oświadczyły to był jego pomysł. Ja mu tylko pomogłem je zorganizować, ale to on wszystko sam zaplanował.

— Naprawdę?

— Dlaczego sama go nie zapytasz? — zaproponował Gio, widząc już machającego do nich kolegę.

Alec z uśmiechem przyjmował gratulacje od członków drużyny. Najwyraźniej Gio się nie mylił. Jej „tak” było dla niego ważniejsze niż strata szansy na wygraną jeden do zera.

Słyszała jeszcze, jak trener na ostatnią część meczu zastępuje Aleca innym zawodnikiem, a ten się nawet nie spiera.

Jego uwaga cały czas była skupiona na niej.

— Przykro mi, że straciłeś tę piłkę — powiedziała Elizabeth, kiedy wziął ją w ramiona. Potem, ku ogólnej radości, pocałował ją i odciągnął na bok.

— A co mnie to obchodzi, skoro właśnie wygrałem najważniejszy mecz w moim życiu? Elizabeth znowu się rozplakała.

— Co ty robisz tej kobiecie, że ona cały czas płacze? — zawołał jeden z zawodników, kiedy cała drużyna zajmowała swoje stanowiska na boisku.



Nie mogła się uspokoić, nawet gdy Alec wyjął z kieszeni eleganckie pudełeczko od jubilera.

— Otwórz — poprosił.

Wzięła pudełeczko z jego ręki, wolno uniosła przykrywkę i uśmiechnęła się szeroko, a łzy popłynęły po jej policzkach jeszcze większym strumieniem.

— Nic dziwnego, że płacze — odezwał się trener, zerknąwszy na pierścionek. — Skąpiradło z ciebie, McCord. Uważam, że ta panienska powinna się poważnie zastanowić, czy za ciebie wyjść.

Nie mogło być w ogóle mowy o zmianie decyzji. Jak kobieta mogłaby powiedzieć „nie” mężczyźnie, który zdobył się na tak romantyczny gest?

W wyściełanym aksamitem pudełeczku leżał pierścionek który Elizabeth widziała już wcześniej. Pierścionek, który Alec już kiedyś włożył jej na palec. Ten sam, który wylosował z automatu przy basenie, kiedy uczył ją pływać.

Wtedy to właściwie zmusiła go, żeby się jej oświadczył, i w końcu zdobyła swojego mężczyznę, chociaż zabrało jej to dwadzieścia jeden lat.

Objęła Aleca i obsypała jego twarz pocałunkami. Ten przytulił ją mocno do siebie. Po chwili oboje wrócili na swoje miejsca. Alec — na ławkę rezerwowych, ona — na ławkę dla kibiców.

Kiedy kilka minut później drużyna Cardinals zeszła z boiska, wynik nadal był remisowy. Na początku następnej rundy Cardinals wyszli na prowadzenie i wygrali. Gio, siedzący już teraz koło Elizabeth, cieszył się z tego jak dziecko.

— Nie wiedziałam, że jesteś takim miłośnikiem baseballa — odezwała się.

— Nie jestem. Alec obiecał, że postawi mi kolację, jeśli zgodzisz się za niego wyjść. Szczerze mówiąc, jestem głodny.

Godzinę później siedzieli razem w „Steak’n Shake”.

— Nie ja wpadłem na pomysł z tymi stekami — skrzywił się Gio. — Trener ma rację, straszne z ciebie skapiradło.

— Zamknij się i jedz. Czy to moja wina, że w poniedziałki wszystkie drogie restauracje są pozamykane? — uciszył go Alec, wkładając Elizabeth do ust kilka frytek.

— I jeszcze jedno — ciągnął Gio, chociaż oboje nie zwracali na niego uwagi. — Chcę być drużbą na waszym ślubie. Możesz poprosić Nicholasa i Tristana, żeby wprowadzali gości, ale to ja będę drużbą.

— Dlaczego? Chcesz, żeby Miss Fitness zobaczyła cię w smokingu? — zapytał Alec, trafiając przypadkiem w sedno.

— Co się czepiasz? Ja naprawdę świetnie w nim wyglądam.

— Lepiej uważaj, Gio — ostrzegła go Elizabeth.

—Bo co?

— Nigdy nie wiadomo. Ta twoja Miss Fitness może dojść do wniosku, że w smokingu bardziej przypominasz pana młodego niż drużbę. Nawet się nie obejrzyysz, jak zaprowadzi cię do ołtarza.

— Elizabeth, nie bądź złośliwa. — Gio skończył swojego steakburgera i pomyślał o zamówieniu deseru. Elizabeth z Alekiem cały czas wpatrywali

się w siebie tak, jakby świat wokół przestał istnieć. Po pewnym czasie Gio miał już tego dosyć. Wstając od stołu, wziął rachunek.

— Wychodzę. Dzisiaj ja płacę, Alec. Nie wykręcisz się tanim kosztem.

Oboje pomachali mu na pożegnanie, nawet na niego nie spojrzawszy. Przez prawie cały wieczór trzymali się za ręce i patrzyli sobie głęboko w oczy. W końcu po tylu latach udało im się siebie odnaleźć.

— U mnie, czy u ciebie? — szepnął Alec.

— A może u „Ritza”, skapiradło?

— Skapiradło?

— No cóż, sam przyznasz, że mój pierścionek zaręczynowy niewiele cię kosztował.

— To był mój wielki, romantyczny gest — sprzeciwił się, przesuwając delikatnie palcami po jej policzku.

— A mnie się wydawało, że twoim wielkim romantycznym gestem były oświadczyły przed pięćdziesięcioma tysiącami kibiców.

— Nie, to było zwykłe obłąkanie. Czy dzisiaj jest pełnia księżyca? Nie wiem, co wtedy myślałem. To znaczy... To niezupełnie tak. Doszedłem do wniosku, że jeśli masz w sobie choć odrobinę serca, nie powiesz „nie”.

— Nie powiedziałabym „nie”, nawet gdybyś przesłał mi zwykłą kartkę w czasie meczu. Przecież całe życie czekałam, żebyś mi się ponownie oświadczył.

Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

— Czy to znaczy, że pojedziemy do „Ritza”?

— Niech ci będzie, to wyjątkowy wieczór. Ale będę musiał zacząć się liczyć z pieniędzmi.

— Ja nie mam zamiaru przerywać pracy. Nie musisz mnie utrzymywać.

— Ale chcę. Po zakończeniu sezonu zrezygnuję z gry. Dostałem propozycję zostania trenerem drużyny baseballowej w szkole średniej. Jeśli ją przyjmę, moje zarobki znacznie spadną.

— Dlaczego chcesz odejść? Przecież dalej...

— Wiem, ale odejdę, póki jestem w dobrej formie. Poza tym muszę pilnować mojej... narzeczonej. Koniec romantycznych kolacji z przystojnymi szefami kuchni. — Spojrzał na nią surowo.

— Zdaje się, że jesteś zazdrosny.

— A niech cię, kobieto! — zaśmiał się, chwytając ją za rękę i ciągnąc do samochodu. — Skoro wreszcie cię zdobyłem, nie mam zamiaru tracić.

— A ja nie mam zamiaru do tego dopuścić — dodała Elizabeth, kładąc mu rękę na kolanie. — A teraz do „Ritza”. I to szybko.

— Po co ten pośpiech? Przed nami całe życie.

Elizabeth położyła rękę na jego udzie.

— Elizabeth!

— Tak? — zapytała niewinnym głosem.

— Uważaj na gliny — polecił, naciskając mocniej pedał gazu.

## POSTSCRIPTUM

— Czy ty aby specjalnie nie nadwreżyłeś sobie tego ramienia? — zapytała Elizabeth, kiedy razem z Alekiem wypoczywali na prywatnym basenie przed ich apartamentem nad uroczym jeziorem Sandais w St. Lucia.

— Na pewno bym to zrobił, gdybym wiedział, jak tu pięknie. Szkoda tylko, że nie mogę popływać na desce albo na nartach wodnych.

— Za to całkiem nieźle sobie radziłeś w naszym wielkim łóżku, w basenie i licznych ekskluzywnych restauracjach.

— Chyba masz rację — zgodził się. — A propos, nasze łóżko z baldachimem nas wzywa...

— Alec, czy nie powinieneś oszczędzać ramienia?

— Właśnie zamierzam to zrobić — odparł ze śmiechem. — Sama mnie przekonałaś, że czasami warto pozwolić kobiecie być górą...

— Alec! — skarciła go, lecz poszła za nim do pokoju. Alec podał jej szlafrok, stanął za nią i objął ją w pasie.

Razem patrzyli na gwiazdy migoczące na ciemnym niebie i słuchali fal uderzających o plażę przed hotelem.

— Ten tydzień tak szybko minął. Szkoda, że rano musimy wyjechać — westchnęła Elizabeth.

— Nie musimy.

— Co?

— Mam dla ciebie niespodziankę. — Alec wziął ją za rękę i posadził na łóżku. — Poczekaj chwilę.

— Co ty knujesz? — zapytała jak zwykle niecierpliwie, obserwując Aleca wyciągającego gazetę z walizki.

— Czekałem na odpowiedni moment, żeby ci pokazać.

— Co to jest? — Wyrwała mu gazetę z ręki.

— Otwórz na stronie dwudziestej drugiej — polecił.

— Ale przecież... — chciała zaprotestować, po czym zaczęła czytać tekst umieszczony pod ich zdjęciem:

„Elizabeth Bonetti i Alec McCord wstąpią w związek małżeński dnia 4 lipca 1995 r. w St. Lucia nad jeziorem Sandais. Panna młoda jest córką Angeli i Antoniego Bonettich, zamieszkałych w Arlington, w stanie Teksas, i właścicielką Bonetti Travel Agency. Pan młody to absolwent Boston College, zawodowy baseballista, obecnie grający w drużynie Cardinals z St. Louis”.

— Alec! — pisnęła Elizabeth, odrzucając gazetę.

— Coś się nie zgadza? Wiem, że mieliśmy wziąć ślub w Walentynki, ale nie mogłem się doczekać...

Elizabeth zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go pocałowała.

— O Boże — zaczęła po chwili — mam tysiąc rzeczy do zrobienia. Muszę...

Alec potrząsnął głową.

— Nic nie musisz. W hotelu wszystko zorganizują. Powiedzieli mi, że mamy zadbać tylko o miłość. Resztą już oni się zajmą, łącznie z kwiatami tropikalnymi, szampanem, tortem weselnym i rejsem po jeziorze.

— I załatwiłeś to wszystko, kiedy ja pływałam w basenie, a ty miałeś odpoczywać?

Alec tylko się uśmiechnął.

— Więc naprawdę masz zamiar się ze mną ożenić?

— Tak.

## **Epilog**

*Noc sylwestrowa, Boston.*

Przy barze usiadło trzech mężczyzn, każdy w nienagannie skrojonym smokingu.

— Czym mogę panom służyć? — zwrócił się do nich barman z uprzejmym uśmiechem.

— Zdaje się, że już nas obsłużyłeś — powiedział Nicholas głosem, jakim zazwyczaj prokuratorzy domagają się kary śmierci.

Tristan i Alec odgrywali w tej farsie rolę oskarżycieli posiłkowych, o czym przede wszystkim świadczyły ich potępiające spojrzenia.

Fred poruszył się niespokojnie.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Sprzedałeś nam najlepszego szampana — odpowiedział zamiast Nicholasa Alec.

Na twarzy Freda pojawił się wyraz ulgi.

— Jeśli serwuję komuś najlepszego szampana, to zawsze jest to dowód faworyzowania danego gościa.

— Zależy to jeszcze od tego, czy wraz z szampanem serwujesz jakieś rady — zauważył Tristan.

— Rady? Nigdy nie udzielam rad — zapewnił ich barman.

Alec obrzucił przyjaciół krótkim spojrzeniem.

— Chyba musimy odświeżyć mu pamięć.

— Było to dokładnie rok temu — zaczął Nicholas, rozsiadając się wygodniej na stołku, jakby przystępował do opowiadania jakiejś dłuższej historii, — Trzech dorodnych kawalerów spotkało się w tym lokalu, by spędzić sylwestrową noc.



Fred badawczo przypatrywał się twarzom mężczyzn, drapiąc się po policzku.

— Alec był wówczas w wisielczym humorze, gdyż pewna dama, z którą się umówił, wystawiła go do wiatru — Tristan przejął wątek narracji.

— A ty i Nicholas nawet nie mieliście widoków na randkę — zrewanżował się Alec.

— Nieważne. Jak by na to nie patrzeć, byliśmy trzema facetami bez kobiet — podsumował Nicholas.

— Teraz już sobie przypominam — ożywił się Fred, zaś obawa, że zostanie zaatakowany przez trzech wariatów, całkowicie znikła z jego okrągłego oblicza. — Dręczyliście się czarnymi wizjami przyszłości.

— I wówczas ty wystąpiłeś z radą, żebyśmy chwycili się pewnego sposobu. Polegałby on na umieszczeniu w rubryce towarzyskiej odpowiednio zredagowanego ogłoszenia, a przepiękne kobiety same będą waliły oknami i drzwiami — powiedział Tristan sarkastycznym tonem, od którego jednak cierpła krew w żyłach.

— Naprawdę tak wam poradziłem? — zapytał gruby Fred głosem niewiniątka.

— Naprawdę.

— I zdecydowaliście się na to?

— A jakże!

Brwi Freda zbliżyły się do siebie, co nadało jego pocziwemu obliczu wyraz ciekawskiego oczekiwania.

— Tkwiło w tym pewne ryzyko, no nie?

— Nie bardzo wiem, czy to ryzyko odnosisz do ogłoszeń czy do słuchania się rad barmana — powiedział Tristan.

Wydatny brzuch Freda zatrzęsł się od tłumionego śmiechu.

— Sądząc z waszych mm, chłopcy, można mieć niemal pewność, że ogłoszenia nie przyniosły spodziewanych rezultatów. — Sięgnął po butelkę szampana i z hukiem postawił ją na blacie. — „Tym razem ja stawiam.

— Ależ to nie jest konieczne — zaprotestował Nicholas.

— Owszem, jest. Bo jeśli rezultatem stosowania się do moich rad była inwazja na was, chłopcy, tabuna napalonych bab... — Zręczne dłonie Freda wyzwoliły z butelki szampana miłe dla ucha puknięcie.

— Stosowanie się do twoich rad zaprowadziło każdego z nas na ślubny kobierzec — sprostował Nicholas.

Fred wlepił w nich zdumione spojrzenie.

— Co takiego? Ożeniliście się, chłopaki?

— Trochę więcej spostrzegawczości, a od razu byś to odgadł — oświadczył Alec z dumną miną.

— Więc dlaczego siedzicie tutaj, zamiast szaleć na parkiecie ze swoimi żonkami? — Barman wskazał ręką w głąb sali.

— Ponieważ nasze żony udały się do toalety — padła odpowiedź.

— I prawdopodobnie zostaną tam przez jakiś czas. No wiesz, żona Aleca odczuwa sensacje związane ze zbliżającym się macierzyństwem — wyjaśnił Tristan.

— A poza tym chcieliśmy bez świadków podziękować facetowi, który pchnął nas na drogę, na której spotkaliśmy trzy cudowne kobiety — dodał Nicholas.

Fred wręczył każdemu napełniony musującym płynem kieliszek,  
— Naprawdę znaleźliście żony z tych ogłoszeń? — zapytał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Powiedzmy raczej, z powodu tych ogłoszeń — uściślił Tristan, ob-  
rzucając przyjaciół znaczącym uśmiechem.

Alec wznosił swój kieliszek.

— Wypijmy zatem za Freda, najlepszego barmana w Bostonie.

— Za Freda! — Nicholas i Tristan dołączyli się do toastu. Fred podzię-  
kował im szerokim uśmiechem, po czym zapytał:

— Więc czy w końcu powiecie mi, kto wygrał zakład? Nicholas opróż-  
nił swój kieliszek jednym haustem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie ma wśród nas przegranego. Wygraliśmy wszyscy.